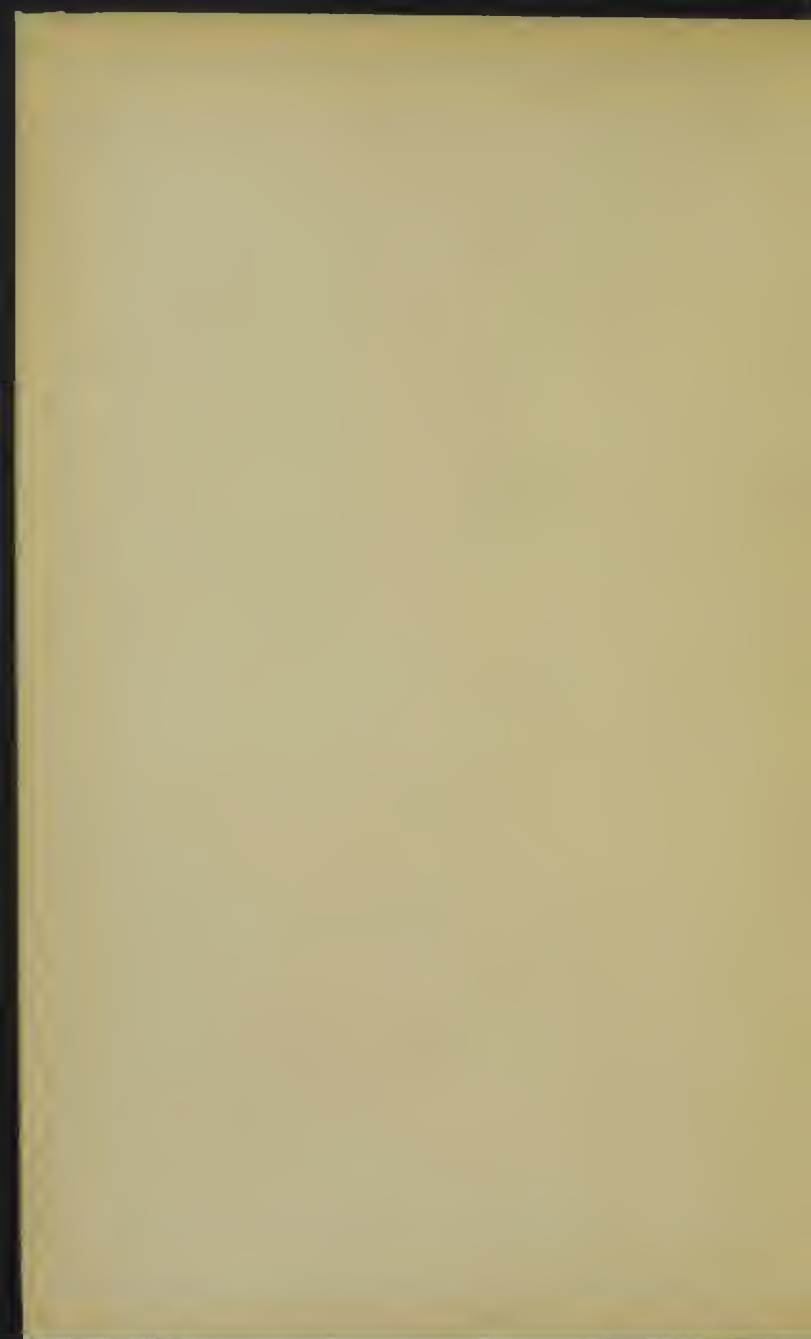


KRAKÓW ZA ŁOKTKA.



J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.
XII.

KRAKÓW ZA ŁOKTKĄ.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

TOM I.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

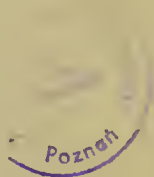
G. Sennewald.

Edward Wende.

1880.



Aż do XVI. wieku pisarze nasi zowią Władysława,
Łoktek, nie Łokietek; trzymaliśmy się tradycyi, choć dla
brzmienia twardego ją zaniedbano.



W drukarni Wł. Anczyca i Spółki.

1101-532

AUTOROWI
DUCHA WOJEWODY
PANU LUDWIKOWI GROSSMANOWI.

Wywdzięczając się za dar Jubileuszowy

Drezno.
1880 r. Kwiecień.

I rzęsyła

Autor.



I.

Pod Krakowem około Balic, które naówczas do rozległych majątności Toporezyków z Tęczyna należały, stał w lesie dwór, zwany Łowczą; gdyż w nim dawniej na łowy zbierano się i po łowach odpoczywano.

Zbudował go był przed laty wielu, Jaśko z Tęczyna, ale później dwór zaniedbany opustoszał, kołem go podparto i pastusi się leśni tylko tulili w słoty pod strzechę — gdy zubożały ziemianin, który ojcowizny pozbył, a w jakimś stopniu dalekim z rodem Starżów był spowinowacony, wyprosił sobie chatę za czynsz mały, z kawałkiem lasu i pola.

Warowali tylko panowie z Tęczyna, aby w lasach nie polował, zwierza im nie płoszył, a po troszę od szkody pilnował.

Stary, wojak niegdyś, teraz jnż niedolega, ubo-
żuchno żyjący, podjął się wszystkiego co od niego
chciano, byle zyskać kąt spokojny i dworek na
Łowczej oblepiwszy, podparłszy, od lat kilku
w nim z żoną i synem przemieszkiwał.

Nie szlachecka to była, nie rycerska rzecz
w takiej zagrodzie, endzej jeszcze, biedę klepać,
ale wolał już to Zbyszek Suła, niż w Krakowie
wśród mieszczan i Niemców pospołu żyć, bo ci
ziemianina nie szanowali, Wójtowi zuchwałemu
i lada Viertelnikowi nlegać było trzeba.

Na Łowczej, jeśli przyszło się komu pokłonić,
to równemu sobie ziemianinowi, nie szwabowi
lub sasowi — zresztą swobody mógł zażywać jak
największej.

Dostatku wielkiego u Suły nie było, ale i nę-
dzy nie doznawali.

Syn Zbyszka, którego Marcikiem zwano, bo
mu na imię Marcin było a matka go tak spieściła,
nie młodzieniaszkiem już był, ale też nie starym;
miał lat ze trzydzieści. Jak ojciec służywał ry-
cersko, ale się przerzucił od jednego do dru-
giego pana, skarżąc się, że mu wszędzie nie po
myśli było, że go krzywdzono. Przeto też często
do ojca powracał, wyczekując jakichś lepszych cza-
sów i ludzi lepszych, a w Łowczej przesiadując.

O półtorej milki od Krakowa, który podów-
czas już rósł bardzo, mógł ztąd zawsze gdy chciał
(a zachciewało mu się tego prawie codziennie)

dojeżdżać do miasta, spędzić tam dzionek z do-
breimi przyjaciółmi, dużo się nasłuchać, dobrze
napić nie płacąc i z wesołą myślą a plotkami
wieczorem do rodziców powrócić.

Zbyszek Suła niekoniecznie był rad temu, że
syn tak miejsca nigdzie nie zagrzewał. Chciał by
go był widzieć przy możliwym pann jakim, zapra-
cowującego sobie na łaskę i opiekę, ale z drugiej
strony, on i matka Zbita, cieszyli się, iż go przy
sobie miewali, bo z nim im w pustym dworze
rażniej i weselej było.

Krom starego Zbyszka, matki Zbity, starej
babu co im jeść gotowała, parobka do posług
i wyrostka sieroty z Krakowa przybłąkanego,
pary koni na stajni, krowy i psa podwórzowego,
nie było w Łowczej więcej nikogo.

Wśród głuchego lasu, nie bardzoby bezpiecznie
było tak siedzieć, dla włóczęgów i zbójów, któ-
rych zawsze do koła miasta dużo bywa, ale
o Zbyszku i łotrzykowie wiedzieli, że się u niego
pożywić nie było tak dalece czem, a guza złapać
łatwo. Stary żołnierz w potrzebie jeszcze rażno
obuchem wywijał.

On i syn jego Marcik, ludzie byli nie płochliwi,
do korda i do topora szparey.

Zbliżał się wieczór jesienny, niebo było po-
ciemne dnia tego, więc i ciemno się zawczasu
robić poczęło. Wiatr szumiał w borze, liście już
poschłe z drzew opędzając. W izbie około ognia

siedział Zbyszek, dalej nieco drzymała Zbita, która już wieczorami prząść nie mogła, bo jej nie służyły oczy, a i ręce się trzęsły. Na ławie w kącie z kądzielą siedziała gospodyni Marucha, w drugim parobek Chaber nicmając co robić, skalki łupał. Przy ognisku w garnkach się coś gotowało. Dym, któremu wiatr nie dawał przez dymnik wychodzić, często się do izby wracając rozwlekał po niej — ale do niego przywykli byli wszyscy. Wieczór był smutny, Marcik, który swym zwyczajem powlókł się był do Krakowa, jakoś nie wracał.

Czekano nań z wieczerzą. Zbita niespokojna coraz to się wiatrowi przysłuchiwała, czy jej tententu konia nie przyniesie, któryby powrót syna zwiastował.

Miała się o co troskać, bo Marcik czasem z Krakowa pokrwawiony i potłuczony powracał.

Różnie się trafiało, jak zwyczajnie człowiekowi rycerskiego rzemiosła, co się rad mięszać gdzie gorąco.

Wiatr, który jesienią dziwnemi odzywa się głosy, dnia tego strachem przejmował, tak zawodził przeraźliwie. Słychać w nim było wycie ludzkie, jęki dziecięce, niby okrzyki tłumów i wrzawę swarliwą, to śmiechy szatańskie, to zbojeckie gwizdania, to nragające się śpiewy jakichś ptaków niebywałych.

Głosy te oddalały się, przybliżały, uciekały

kędyś i jakby gnane powracały spiesźnie dając słyszeć z różnych stron domu, od jednego to od drugiego węgła.

Zaskakiwały od komina, szeleściwały w strzesze. Jakaś siła szatańska łomotała drzwiami, szelpotała w słomianem pokryciu, dobijała się do okienic, pełzała po ścianach.

Zbita, która pobożną była, żegnała się słysząc to i żegnała krzyżem świętym wszystkie cztery świata strony. Nie pomagało to nic, wietrzysko dokazywało, a wiadomo, że jest w niem siła nieczysta — i djabelskie tańce i wesela innej nad tę gęźby nie znają.

Drzewa blizkie miotane tą złą mocą, trzeszczały i skrzypiały, gałęzie ich upadały na strzechę, słysząc było liście szeleszczące po ścianach. Czasem z wiatrem sypnął deszcz gęsty, ale wprędce rozbity wichrem, ustawał.

Mieszkańcy lasu oswojeni byli z temi głosami, które czasem po całych nocach spać im nie dawały, a jednak tego dnia strach ich jakiś przejmował. — Nastawiali uszu, czekali aby się skończył ten taniec djabelski i burza poszła na dalsze bory. Lecz wietrzysko jakby sobie upodobało wyrąbaną nieco około Łowczej polanę, szumiało w niej, a im wieczór był późniejszy, tem siły i ochoty większej nabierało do szaleństwa.

Teraz już i Marcika przybywającego, zdala posłyszeć było trudno, z taką wściekłością burza

około dworku wyla. Ogień choć od wichru zakryty, staniał się i przypadał do ziemi, ściany dygotały a drzwi trzęsły się ciągle i wiązanie na dachu trzaskało.

Stary Zbyszek ze wszystkich we dworku zebranych najmniej był czułym na to. Wojak obyty z życiem, nawykły pod gołym niebem obozować, doznawał niemal jakiegoś błogiego uczucia, czując się pod dachem w taką porę. Przypominał sobie jak nieraz burze jesienne, namioty im z nad głów i szalały precz roznosiły, a ognisk nie dawały rozpalić.

Stary pamiętał przygód niemało i sam ich doznał wiele. Przed dwudziestą kilką laty zaciągnął się był do wojska księcia kujawskiego Władysława, służył u niego długo i dzielił z nim różne losy. W końcu, lat temu już było ze sześć, musiał zaniemógłszy powrócić do żony i osiedlić się w Łowczej.

Książę Władysław, którego Łoktkiem zwano, mały ale dziarski mąż, żelazny człek, wojował długo aż go wreszcie zazdrośni i nieprzyjaźni książęta, a w ostatku Czechy co Polskę opanowali — wygnali gdzieś z kraju.

Słysząc już o nim od lat kilku nie było.

Jedni twierdzili że kędyś został zabity, drudzy że się błakał po obcych krajach, a od czasu jak Wacław czeski objął panowanie nad całą niemal Polską, miano Łoktka i sprawę jego za zgubioną.

Książę już i nie młody był, bo lat czterdzieści kilka liczył, znużony też, gdyż lat dwadzieścia przeszło ciągle wojował. Dobit się był panowania, niemal korony po Przemyśławie, aż naraz naposiedli się nań wielkopolanie, duchowni zaczęli go wyklinać za to, że im ich ziemie pustoszył i klasztorom nie przepuszczał. Czecha wezwano w pomoc, a waleczny książę zniknął i jakby zapadł pod ziemię.

Zbyszek właśnie o nim sobie myślał, bo go kochał bardzo. Lepszego pana dla swoich żołnierzy nie było nad niego, żył tak samo jak i oni, z jednego kociołka jadał z niemi, śmiał się i dawał śmiać ochotnie, pyszny nie był, ludzki bardzo. Prawda, że żołnierz u niego rzadko grosz zobaczył bo on sam nigdy go nie miał, ale po wsiach i dobrach duchownych żywili się i rwali jak cheieli, a i na plebanje zaglądali.

Dobry ten pan wprowadzie gdy mu się kto sprzeciwiał wieszał bez sądu, ścinał bez miłosierdzia, a jednak ludzie miłowali go, bo gdy kazał wieszać albo ścinać, pewnie było za co, a dla dobrych był ojcem rodzonym.

W tych ziemiach, których był panem, osobliwszym sposobem miał najzajadlejszych wrogów i najlepszych przyjaciół, co zań gotowi byli dać życie. Miłowano go bez miary i nienawidzono srodze.

Takim był, że i sam nic pomiernie czynić nie

umiał i w ludziach też budził albo niechęć wściekłą lub miłość ogromną...

Zbyszek myślał o tym dawnym swym wodzu, z którym się dużo po Śląsku, Wielkopolsce, po sandomirskiej i krakowskiej ziemi nawlóczył, gdy pomimo wiebru, dał się słyszeć tentent konia tuż pod oknem. Pies leżący w progu, (wabił się na Kruczka) czekać zaczął zerwawszy się, parobek skalki lupać porzucił, a Zbita zawołała z drzemki się budząc:

— Ot i Marcik!

Szedł Chaber do drzwi, bo te na wszelki wypadek wieczorem drągiem zakładano, aby podsłuchawszy w sionce, młodemu panu otworzyć. Ten się już w znany wszystkim sposób kulakiem tłukąc, do drzwi dobijał.

On ci to był sam. Ruszyło się wszystko w chacie, stara Marucha do garnków, Zbita na przyjęcie syna, nawet Zbyszek głowę podniósł i zwrócił się ku wnijściu.

Marcik oddawszy konia wchodził właśnie.

Chłop był dorodny, silny, szeroko ramienny, co się zowie tęgą, twarzy kragłej i rumianej całe nie brzydkiej, a gdy była wesolą, piękniejącej.

Z całej postawy i ruchu znać było, że się rodził na wojaka, ale nie na takiego coby nogami wrósłszy w jedno miejsce trwał w niem, na ruchawego i potrzebującego codziennie nowej sprawy.

Okryty szeroko oponczą dość wyszarzaną,

miał pod nią kawalek zbroi i mieczyk, na głowie czapkę z obręczami żelaznymi i spieczastym wie-
rchem okutym, bo onego czasu z domu się wy-
bierać bez zbroi i oręża niebezpieczno było. Każdej
godziny mogło coś niespodzianego spotkać.

Marcik dobrze wiedział o tem i w rękę też
trzymał od siodła odjęty koszturek z siekierką
i obuszkim, który w jego dłoni mógł się dobrze
dać we znaki.

Poklonił się rodzicom zdejmując zwolna opon-
czę i na ścianie ją wieszając, gdzie miejsce dla
niej na kołku było.

— Psi czas! — zawolał. — Żeby marchla nie
miała lepszych nóg a ja dobrych rąk, wieber by
ją obalił, tak szaleje. Drzewa ogromne kłaniają
się jak kłosy. — Psi czas!

— A trzeba ci to było siedzieć tak do późna? —
zamruczał ojciec.

— Nie mogłem bo się wyrwać z gospody od
Szeluchy, takiego tam dziś było ludu i gadania!

— Ho! ho! — odparł ojciec, a matka stanęła
gotując się już słuchać opowiadania i ręce na
piersi zakładając.

— Co tam ludzie pletli, aż strach!! — roz-
śmiał się Marcik. — Żebyście to wy byli mogli
posłuchać, ojczeniu, dopiero byście się radowali.
Mnie się zda, że to wierutne baśnie.

— Cóż to? co? — przerwał ojciec ciekawie.

— No! — rzekł Marcik, wyciągając się, jakby

go siedzenie na koniu zmęczyło — plotą ludzie, że się kędyś znowu Łoktek pokazał!

To rzekłszy śmiać się począł, a Zbyszek choć stary, choć w nogach nie mocen, porwał się pionem i przyskoczył do syna.

— Łoktek! mój pan! — zawołał radośnie. — Widzisz! a tom ci ja mówił zawsze, przysięgałem się, że pan ten zginać nie mógł, że on się zabić nie dał, że wypłynie jeszcze i panować musi!!

— Ho! ho! — śmiał się syn siadając na ławie i nogi ku ogniowi wyciągając. — Ojezulu! ojezulu! już mu tu nie bywać! Z czeskich mocnych rąk już my się nie wydobędziemy!

Wacław się królem koronował, ma za sobą pół świata, potęgę ogromną. Cesarze i króle z nim, a ten twój biedota książę, Łoktek goły, co nigdy denara przy duszy nie miał, gdyby ci wypłynął gdzie — co on zrobi przeciw takiemu mocarzowi, jak król czeski?

Stary zasmucił się mocno. Nie mógł synowi prawdy nie przyznać, a serce inaczej pragnęło i czuło.

Przeciw wszsztkiemu miał jakąś nadzieję.

— E! e! — rzekł cicho — niechaj no się on tylko pokaże! Zobaczysz Marcik da on sobie rady i z tym mocarzem! Ty go nie znasz! Ja u niego służyłem, ja na niego patrzałem! Mały człeczek, niema spojrzeć na co — a jak bije! jaką ma siłę! i jaką moc daje swoim, gdyby czary miał.

Ludzie już słaniają się i padają, niech on krzyknie na nich tylko, wnet nowa dusza w nich wstępuje. Miecz jego dobry, ale serce jeszcze lepsze.

Przerwał w końcu Zbyszek pochwały i przystąpiwszy do syna nagiął nań.

— No, gadajże ty mnie, gadaj, zkąd ludzie wzięli, że on się znowu pokazał. Widział go kto? Blisko lat cztery go nie było ani slychu, jak w wodę wpadł, mówiono, że zabili go, że na Węgrzech zginął, że do klasztoru wstąpił na pokutę, że go Czechy, czy Niemcy zamordowali. A jam temu nigdy nie wierzył, bo ja go znam!!

— Kto tu teraz prawdy dojdzie? — odezwał się Marcik obojętnie, wcale zapalu ojca nie biorąc do serca. — At! prawią ludzie, jakoby się zjawił! Toby nie znaczyło nic, bo czego nie prawią? ale Czechy czegoś niespokojne.

Mówią, że pan Ulrych (Boskowiec), co na zamku siedzi, dał pilne rozkazy, aby go szukano. Trzęsiono po łąkach — łapano, a za głowę jego naznaczył moc grzywien, czy wielkich tych groszy pragskich. —

Stary ręce załamał.

— Uchowaj panie Boże nieszczęścia, gotów się jaki łotr ulakomić, zawołał, i zdradzić go! Miłosierny panie!!

— A coby w tem dziwnego było? — rzekł Marcik. Nie każdego dnia trafi się taka zwierzyzna!

Zbyszek aż się wstrząsnął ze zgrozy.

— Mileżałbyś — krzyknął. — Ja bym swoje życie za tego pana dał. Oh! oh! gdyby się on zjawiał a poszczęściło mu się, ty i ja nie siedzielibyśmy w tej mizernej chacie na Łowczej, ale na krakowskim zamku, albo na własnym ziemi kawałku.

Marcik ręką zamachnął, jakby tę przepowiednię lekko sobie ważył.

— Takby było! tak! — ciągnął stary dalej. — Pan to jest taki, że żadnego ze swoich starych żołnierzy, gdyby go raz widział, nie zapomni. — Spójrzawszy jeno na mnie, powiedziałby ci zaraz, gdzieśmy razem bywali i co robili. Choćby miał tysiąc ludzi, gdy im raz popatrzył w oczy, każdego poznał, bodaj po dziesięciu latach. Każdemu wdzięczen był...

— A co dziś ta jego wdzięczność warta! kiedy on sam kąta i przytulku niema i mieć nie będzie — rzekł Marcik spluwając. — Jeżeli prawda, że żyw włóczy się kędyś, a Czechy za nim w tropy, kto do niego dziś przystanie? Ani łomu, ani domu, ani grosza w kalecie. Co po takim panu?

— Co ty wiesz? co ty znasz? — gorąco ofuknął go stary. — Widziałem ja go już w dziesięć koni jeżdżącego po dworach, w liehej zbroiczce powiązanej sznurkami, z kaletą pustą, a w mieście, we dwa, ludzi już miał, grody brał, i bił się i zwyciężał...

— Tak ci to może bywało — odparł Marcik — póki u nas małe książątka trzymały ziemię. — Rwać od nich było łatwo, nie od Czecha! to siłacz wielki!

— A ja ci mówię — porwał się Zbyszek, — że tym Czechom u nas długo nie gościć! Już się ziemianie skrobią po głowach, już po miastach Niemcy, choć się im kłaniają a stękają. Dłużej nikt nie strzyma.

— A co ziemianie dziś znaczą? — rozśmiał się Marcik — albo to oni ci, co byli? Niegdyś oni rej wodzili, teraz miasta górą, Niemcy górą, grody poobsadzone najemnikiem, żołnierza cudzego dosyć!

Zbyszek głową potrząsał.

— Gadaj ty mi lepiej, co w mieście słyszać? Tego od ciebie chcę.

— Mówilem już, — odparł syn. — Plotą jakby się znowu zkądeś wyrwał wasz Łoktek, dodają że najwyższy Biskup Rzymski o jego prawa się upomina, że on w Rzymie u niego był i z tamtąd wraca.

— Widzisz — zatryumfował ojciec — widzisz! Ho! nie darmo on w świat szedł! Rozumny pan! Wiedział gdzie nderzyć. Był tego czasu właśnie w Rzymie wielki odpust na świat cały, kędy i zbójom wszelakim odpuszczano... Ty myślisz, że Biskup rzymski to mała rzecz? taki prosty Biskup jak nasze? On ci przecie koronę nosi

i korony rozdaje. A jak on się upomni? jak zakluie?

Marcik głową kręcił.

— To co? — rzekł. — Wszystko babskie gadanie, aby ludzie mieli co językami mleć. Czechów ktoś chciał nastraszyć — bajkę im puścił, a na nich czapka gore, popłoszyli się. Zkąd by on po czterech leciech wziął się tu znowu? kiedy już wracać nie ma do czego! Kujawy, nie Kujawy zabrali mu wszystko, piędzi ziemi nie ma. Prawią ci, co dobrze wiedzą, że księżnę żonę jego mieszczanin do domu przez miłosierdzie wziął i żywi ją, przytułek jej daje. Nie czekał by on tyle lat, gdyby o czem myślał.

Czechy tym czasem gospodarują...

Na granicy od Węgier w Kamienicy nad Dunajem twierdzę słyszę budują, że aż strach!

— W Kamienicy? nad Dunajem? — spytał stary. — Toć ona biskupia była?

— Biskupowi dali za nią Biecz — rzekł Marcik. — Tam gród chcą mocny i wielkie miasto zakładać. Cóż wasz Łoktek z rękami gołemi zrobi przeciw nim??

Zbyszek nie dał się pożyć, zwiesił trochę głowę i mruknął uparcie.

— Gadał, gdzie go widzieli? kto o nim mówi?

Marcik uśmiechając się miłosiernie, w głowę się poskrobał.

— Jam ci to myślał sobie, — rzekł — jak się tatulo

dowiedzą o tym swym zmartwychwstałym Łoktku, spokoju mi o niego nie dadzą. Dla tegom u Szeluchy od jednego do drugiego chodził nastawując uszu, — ale bredzą, każdy co innego. —

— A prawżę mi co gadają?

— Każdy swoim smakiem — śmiał się Marcik. — Jedni jak ja drwią i wiary nie dają, drudzy gotowi by iść tropić, aby Czechom wydać za pieniądze...

— To łajdaki są i zbóje — krzyknął głośno oburzony Zbyszek — psy niepocziwe, dałbym je wywieszać!

— Niektórzy pomrukiwali, że go widziano w okolicy kędyś niedaleko — ciągnął Marcik. — Mówią, że po dworach do ziemian zaglądał około Ojcowa, do tych, co mu dawniej sprzyjali i chadzali z nim. Ci go pono przyjmują ni źle, ni dobrze — goszczą, karmią, przez zęby coś cedzą, a z pomocą — nie radzi.

— Tacy oni wszyscy, tacy! — westchnął Suła. Im i Czech dobry i Niemiec dobry, a gdyby Tatar przyszedł panować i temuby się kłaniali. — Co im!

— A ja sobie mówię — słyszysz Marcik — ten mały był dla nas na pana stworzony! Z nim ksiądz, ziemianin, chłop, najlichsza gadzina rozmówić się mogła, zrozumiał każdego, nie przegnał precz nikogo! To był pan — nasz!

On tej biedy pod czas zażywał co i my wszyscy!

Czarny chleb jadał, na ziemi legał, po lasach się tulał, w siermiedze chodził, głowy gdzie przytu-
lić nie miał — a jak było potrzeba — panem po-
trafił on być i łeb uciąć i krwi ntoczyć gorącej.
Gdy dobry bywał choć do rany, gdy się namar-
szył, stój z dała, albo nogi za pas. Żartu z nim
nie ma.

To był pan dla nas! Trzymał twardo, gdy
potrzeba było, a wiedział gdzie i kogo głaskać —
i dać dobre słowo!

Zbyszek westchnął.

— Co ty wiesz? — dodał do syna. — Tyś
nie nie widział a mało co słyszał odemnie —
ale gdybyś patrzył na to co ja!!

Syn się nśmiechał po troszę, stary rozgady-
wał tak, że już utrzymać nie mógł i choć pewnie
raz nie pierwszy puścił się w opowiadanie, gdy
tymczasem wieczerzę im przygotowywano.

— Ja — jam go z małeńka znał — mówił. —
Nie miał wówczas może nad lat piętnaście, a rwał
się już wojować i panować. Jam naówczas słu-
żył przy medyku Mikołaju, co go pilnował, żeby
nie chorzał. Ale gdzie on kiedy chory mógł być!!
Bywało zdaje się, że słabuje, niech no mu powie-
dzą, że trzeba w pole, zerwie się na równe nogi —
zdrów jak ryba!

Wówczas na swą rękę jeszcze nie mógł wo-
jować, to się czepiał, gdzie co szcękneło. Cho-
dził z nieboszczykiem Kaliskim Pobożnym — i przy

innych, byle się wojny uczyć — Z Przemkiem co na Poznaniu siedział choć nie bardzo byli zgodni, a i temu pomagał.

Lat kilkanaście jak się Czarnemu Leszkowi, zmarło, co też żołnierz był dobry, a potomstwa po nim nie zostało, choć żaby i węże na to jedli oboje, i nie im nie pomogło. — Ziemianie sobie na Kraków wzięli Mazowieckiego Bolka, a mieszczanie Krakowscy z Wrocławia Ślązaka.

Wówczas mazurów sobie ściągwał i wielkopolan i pomorzan, jam tam był, gdy Henryka napadł pod Siewierzem, w parę niedziel po Gromnicach! Tośmy się tłukli, to siekli! to gnali!! Przemko jeden padł zabity, młodzieńcze chłopię, Bolko Opolski ranny, dostał się nam w niewolę..

W drugiej bitwie pod Skalą, w trzeciej pod Świątnicą — biliśmy się a bili. Ten mały tak sam dokazywał, że stał za dużych dziesięciu. On ci nie będzie patrzył zdala ręce założywszy, jak się ludzie rąbią za niego; żeby go przywiązano na łańcuch, urwie się, leci w samą gąszcz, w upał, a siecze... Trzeba na to patrzeć!!

Po Świątnicy szliśmy do Krakowa prosto... Tu nam wrota otwierają szeroko, niemcy się do ziemi kłaniają, ks. Biskup Paweł co to wiecznie wicherzył a smrodził — z krzyżem i święconą wodą wychodzi naprzeciw — Witajże gospodynie!

Przyszliśmy jak swoi wziąć gród, ano zaraz prędko kto w mieście stał u tych Niemców pa-

skudnych zwąchał, że oni ze strachu nie z miłości się poddali.

W mieście było nie swojo. Patrzali na nas jak na wrogów, po kątach się już zmawiali. Pan o tem wiedząc lekce sobie ważył. Jednak strażę około wałów i wrót miejskich obchodził sam, aby być pewnym, że się nie stanie nic. Niemcy prawili ciągle — Ja! ja! klaniali się a djabła za kołnierzem mieli.

Posłali po swoich cichaczem na Ślązk.

My tym czasem w Krakowie siedzieli jak w uchu. Pamiętam tę noc, bom na straży był, a właśnie Łoktek sam obszedł czaty i opatrzył.

Naraz, kiedy on już był blisko zamku, pod świętym Franciszkiem — zrobił się hałas... niemcy wrota otwarli — puścili wewnątrz Ślązaków! Ci wprost na nas, bij, zabijaj! Ledwieśmy z życiem uszli...

Jam popędził za panem i dognałem go przy klasztorze. Nie więcej nas z nim było jak sześciu. Wpadliśmy do Franciszkanów. Mniehy za nami drzwi zawarli.

Co tu począć? Ino patrzeć jak tu nas niemcy pobiorą, gdyby w gnieździe piskłeta...

Myślicie że się uląkł? albo serce stracił? Wziął na się mniszy habit co mu go od jakiegoś wyrostka dobrali obciążwszy od dołu, i na mur, który do klasztoru przytykał. Dawaj drabinę, podawaj

sznury! Spuściliżmy się tak szczęśliwie i uszli, koni dostawszy..

W tej to zawierusze zgłosił się Czech, że jemu należy Polska, bo Gryfiny wdowy kleryk coś tam na skórze falesznie napisał... Przemko wielkopolski przez zazdrość dla naszego, wołał oddać Kraków Czechowi.

Myślisz, że nasz mały się poddał i uszy stulił? Szli Czechy na Sandomierz, a my też przeciw nim.

Znowuśmy się tłukli a gnali — bo nie były to Czechy też same co dziś są. Jednak my im z Łoktkiem podolali.

Poszliśmy do Wiślicy — i wzięli. Podstąpiliśmy pod Kraków, zajęli przedmieścia, siedzieliśmy im pod nosem — nie dali się.

Nie mógł naówczas żaden Czech na krok się za wał ważyć, bośmy na nich czatowali i rwali ich wszędzie. Przyciągnął z Pragi Biskup z wojskiem, bo oni sobie z biskupa Wojewodę zrobili, i ten nam rady nie dał.

Łoktek z nami krył się po lasach, po wąwozach, po górach i polował na nich.. Wówczas nierazemy oblowili się dobrze.. tak, że już oni sami się prosili u niego, aby zgodę zrobił.

— A dobrze -- rzekł — idźcie precz, będzie zgoda!

I rwaliśmy ich po kawaleu..

Dopiero jak sam król przyciągnął z mocą wielką, a jeszcze tamtych Sasów sobie z Brande-

burga dobrał, co się to nim opiekowali — musieliśmy od Krakowa odstąpić, aleśmy poszli do Sieradzia i do Sandomierza.

Przeciw takiej sile co było robić? Rozumny pan był! Rozumny!

Bitwy się im chciało, prosili o nią — nie dal im jej. Staliśmy znowu po lasach i na czatach. Wymkną się Czechy, z głodu nurą, na picownika — puszczamy... Gdy się ubezpieczą i zapuszczą głębiej — dopiero my na nich i z tyłu i z przodu.. Mało który nam uchodził.

Suu tam nie było ani spoczynku. A i on też nie zasypiał, dworu sobie ani dachu nie szukał. Wszędzie sam był z nami. Musieli Sieradz oblegać, i tego nie wzięli, tylko miasto same.

Cały następny rok nie dawaliśmy im spokoju. Boże miłosierny! gdyby człowiek chciał powiedzieć co przez te czasy przecierpiał i robił! — niktby nie wierzył.

Biliśmy się gdzie iuo było można — aż do samego końca, póki nas taka garść była, żeśmy w pole wyciągać mogli. Aż — obrali sobie w Poznaniu króla — dopiero my spoczęli. Mały nasz przycupnął, wiedział, że chyba on długo tam nie posiedzi, na niego bo się odgrządzali dawno. I zabili go w Rogoźnie.

W Poznaniu na Ś. Wojciech, wiosną naszego pana okrzyknęli księciem — i tylko co mu korony nie dali — królem go chcieli mieć. Do-

pieroz Ślązaki sobie drwić! z łokciowego pana, że mały, że znosek.. a odgrażać się.

Zasłyszal, że Ślązacy go tak i owak przezywają a lekce sobie ważą. — Pójdziemyż na Ślązko — rzekl. — Poszliśmy i spustoszyli je, aby znali co łokciowy pan może.

Stary westchnął ciszej.

— Wróciwszy my z tego Ślązka do Polski — niema co się zapierać — prawda, że nasi ludzie srogo sobie poczynali w domu.. ale nie było sposobu, płaca nie dochodziła, pieniędzy nie było, żyć musieli. Więc się nie patrzalo czyja wieś, czy księża, czy kościelna.. A i do klasztorów młodzież zaglądała do młodych mniszek, że nie jedną wyciągnęli z sobą... Za to Pan Bóg pokarać musiał, bo tam na swawolę dużo dziewcząt pobrali.

Jam precz szedł, na sumieniu nie mam. Ślązacy się zaraz z Biskupem Poznańskim zwąchali, więc, choćby z tego nie było nic — począł Biskup kląć, nie tyle za mniszki co za snopy i grosze.. Ślżakowi chcieli się poddać. Polatało się, przyszła zgoda, gdy lichó Czechów nadalo..

Zamilkł Zbyszek nagle podparłszy się smutnie na rękę.

— Tamtych to lat go widzieć było potrzeba — dodał — gdyśmy w polu ciągle byli. Wszyscy jako jeden człek, pulkowódzcy i ciury o głodzie i chłodzie — a gdy wróg się pokazał — jak wściekli!

W złej czy dobrej doli nigdy się on nie zmieniał, zawsze ten sam, noc i dzień we zbroi, miecza nie odpasując. Namiotu sobie rozbić nie dał, na gołej ziemi spał. Ledwie się ozwało hasło, pierwszy na nogach. Konie pod nim padały, on się tylko przesiadał, i — dalej! Nam siły ustawały, jemu nigdy!

I jakim on był, takim będzie gdy powróci! — zakończył stary Zbyszek.

II.

Po chwili dodał Sula:

— Gdyby on czy z nieba spadł czy z pod ziemi wyszedł, wojowałby i zawojowywał jak wprzód!

Marcik słuchał z uwagą, oczy mu czasem pobłykiwały. Wierzył czy nie w opowiadanie, brało go ono za serce, rozgrzewał się, zajmował, uśmiechał. Stary mówił coraz żywiej, a gdy skończył i zadumał się, Marcik rzekł cicho.

— Któż ich wie? Choć mnie się wierzyć nie chce aby on się zjawił znowu — któż wie? Czechy się niepokoją i ruchają — coś to znaczy. Biegają po okolicy, porozsyłali ludzi, trzęsą po dworach.

W ciągu rozmowy wiatr uciechł był nieco, szumiały tylko lasy w dali poważnie, głucho, niby sobie rozповідаjąc o tem co przeszło.

O tej godzinie nigdy prawie nikt do Łowczej się nie zjawiał, nie spodziewano się też nikogo, gdy pies naprzód okrutnie, do drzwi przyskakując ujadać zaczął, co wszystkich nastraszyło, bo Kruczek słynał z roztropności i nigdy darmo nie napędził popłochu, chyba albo się wilcy zbliżali, których czuł zdala, albo człek przywłókł obcy.

Chaber pobiegł nasłuchiwać, gdy razem we drzwi i okiennice bić zaczęto.

O tej porze nocnej z otwieraniem dobrze się trzeba było namyślać. Wyprawiano więc Marcika do sieni, aby przez otwór w ścianie rozpatrzył się, co to było. U progu już krzyki jakieś rozlegały się pół niemieckie pół niby polskie. Domyślano się Czechów Boskowicza.

Byli to podówczas straszni panowie, którym posłuch dawać musiano, bo nie folgowali nikomu. Stary Zbyszek już wołał aby im otwierano nie czekając, gdy Marcik jeszcze się rozpytywał.

Na ostatek po krótkim targu, drzwi otwarto, bo je już łamać chcieli, i wparł się mąż uzbrojony, wzrostu słusznego, z mieczem w rękę, który z czeska łajał, że śmiano go trzymać u progu, opowiadając się, że był posłany od Wielkorządcy Boskowicza, aby po okolicy tropił włóczęgów.

Zbyszek koso nań spojrzał z podełba.

Za nim tuż ciągnęło dwu pacholców z toporami i mieczami.

Weisnęli się do chaty, a drugich dwu na

straży przy drzwiach zostało. — Wysoki mąż w sieni zaraz począł się pilno rozglądać, zawołali ognia. Zobaczywszy, że drabina stała wiodąca na wyżki, jednemu ze skałką kazali wleźć zobaczyć, czy się tam kto nie ukrywa.

Sam dowódzca wszedł do izby niespokojnie badając wszystkie kąty.

— Nie masz kogo obcego u siebie? — zapytał gospodarza, który ramionami tylko poruszył. — Łotrzyńska się po okolicy błąkają.

— Cóż to wy macie dworek ziemianina za łotrowską gospodę? — odbąknął Suta.

Czech dumnie i opryskliwie odwrócił się ku niemu, wołając.

— Albo to u was po dworach, po ziemianach nie było rozbójniczych szajek? Czyśmy to nie musieli tych gniazd wywracać? Nie łupiło wasze rycerstwo po gościńcach?

Zbyszek odpowiedział mu tylko gniewnem spojrzeniem i uszedł na bok. Nie mówiąc więcej Czech powlókł się po izbie, a drzwi do komory zobaczywszy, zajrzał i tam. Wrócił mruczając i siadł na ławie zdala od ognia.

— Nie macie co pić? — spytał po chwili.

— U mnie tu nie szynk ni gospoda — rzekł stary. — Wody kiedy chcecie dam, piwo pono wyszło, miodu ja nie sycę ni piję, a na wino mnie nie stać.

Czech z pod nosa łajał.

Tymczasem i pacholankowie, co na strychu byli, nie znalazłszy, weszli do izby, stanęli w progu. Reszta ich w sieni i podwórku czekała.. Krucek, który się nieco uspokoił, znowu począł na obcych naszczekiwać.

Dowódzca siedział kwaśny.

— Myśmy tu o żadnych nowych rozbojach i lotrzykach w okolicy nie słyszeli — odezwał się przysuwając ku niemu Sula ciekawy. — Cóż to was tak pilno po nocy pędzi?

Czech zrazu nie chciał odpowiadać i mruczał tylko sam do siebie coś po cichu. Potem zagadnął o drogi w okolicy, o dwory w sąsiedztwie, o przemyki ku Ojcowu, o przejezdnych jakich czy ich tu za dnia nie widziano.

Sula uspokajał, zapewniając, że po lasach nie słyszał, od czasu jak mieszczanina Stokę jadącego z Wrocławia ubito, a zabójców połapano i powieszano.

Czech słuchał obojętnie i milczał. Na myśl wręście przyszło Zbyszkowi, że łatwiejby co może z niego wyciągnął, gdyby przyjął gościnniej. Więc choć mu resztek piwa Świdnickiego z Krakowa przyniesionego żal było okrutnie, choć wprzód powiedział, że mu ono wyszło, zamruczał coś do ucha Zbiecie, która z komory wyniosła garnek prosty pełen piwa i podała kubek Czechowi. Ten co się już poczęstowania nie spodziewał, wzbra-

niał się trochę zrazu, potem napój przyjął i wąsy po nim otarłszy, trochę czoło rozchmurzył.

Ze szczęśliwego usposobienia korzystając, gospodarz śmieje się coraz ku niemu przysuwał.

— Mówcie sobie co chcecie — rzekł — musi coś pilnego być, kiedy was na noc w burzę rozsyłają po drogach i lasach. Ludzie jakieś brednie plotą, a wy im wierząc i sami pokoju nie macie i drugim go nie dajecie. U nas tu o niczem nie słychać.

— Ludzie plotą bajki albo i nie bajki — odmruknął Czech — kto to wie? Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Na zamku coś wiedzieć muszą, kiedy nas na wszystkie strony, pod Sącz, pod Wiślicę i ku Ojcowu rozpędzono.

— No? a kogoż się boicie? — pytał Suła.

— My? nie bojemy się nikogo — rzekł dowódca — ale po co warchoły mają ludzi niepokoić?

— Jakie warchoły? — nalegał stary.

Czech się obejrzał.

— Cóż? niceście nie słyszeli?

— W kącie siedząc, z kąda ja co mam słyszeć? Nie wiem nic.

— At, plotą — dodał Czech pogardliwie — że to małe książątko, co to było przepadło, Władek Łokieć z mysiej jany się znowu dobył.

Ramionami dźwignął uśmiechając się.

— U was — mówił — człowiek nowy czy

stary, byle się ruszył a huknął, głowy się zawracają. Nowe sitka lnbicie.

— Zkądby się ten miał wziąć! — rzekł Suła z udaną obojętnością.

Podał Czechowi kubek drugi, który on wypił ochoczo i stał się jeszcze otwartzym.

— Wczorajszego dnia — począł pochylając się ku niemu — przybył na zamek do pana Ulrycha ziemianin Poręba, co ma nie opodał dwór w górach. Ten oznajmił, że u niego był i nocował z kilku ludźmi, mały panek Łoktek. Zamiast go tam zaraz pochwycić i na zamek odstawić — za coby nagrodę dobrą wziął — puścił go wolno nakarmiwszy i napoiwszy, a potem się dopiero namyślił i ze strachu dał o nim znać Ulrychowi.

Począł go Boskowiec lajać, dla czego nie wziął wywołanego w niewolę, kiedy go w rękę miał, tłumaczył się, iż starego prawa gościnności łamać mu się nie godziło. Naklął go i nałajał nasz dobro, i zaraz po drogach rozesłał, aby Łokcia tropiono.

Suła słuchał z uwagą wielką i głową pokręcał.

— E! — rzekł udając niedowiarka. — Ten Poręba przylizać się chciał i lada co wam napłótl. Wy się darmo po okolicy tulać będziecie. Tu go niema. Zkąd by się wziął? po tylu latach? i to jeszcze pod bokiem waszym? pod Krakowem? Naprzód by o nim na Kujawach słyhać było.

— I ja tak myślę — rzekł Czech wstając

z ławy. — Myśmy się dosyć po lesie i wąwozach natłukli, powrócimy do Krakowa.

— Najrozumniej zrobicie — potwierdził Suła, dając mu trzeci kubek na drogę.

Czeladź, którą też poczęstowano aby ją udobruchać, ogrzawszy się zaczęła do odjazdu spsobić. Marcik, który czasu rozmowy zdala się trzymał, wywiódł ich za próg i poświęciwszy do wsiadania, gdy w las ruszyli, rad że się zbył, drzwi drągiem założył.

Wróciwszy do izby, gdy na ojca spojrzął, zdumiał się mocno, takiej starowina buty nabral i poweselał. Czapczyne na jedno ucho wykręcił, ręce w boki za pas pozakładał, i tylko że po izbie nie skakał, ale nogami podtupywał.

— Słuchajno Marcik! ho! Teraz jam pewien, że Łoktek żyw! A jak on żyw — to im sadła za skórę zaleje! gorącego!! Jeśli nie on, nikt ztąd Czechów nie wyżenie. To go Pan Bóg zesłał!

Zbyszek dziwnym głosem ostatnie słowa wyśpiewał — a syn mu się uśmiechnął.

— Śmiej się, nie śmiej — począł stary — Czechy dobre nosy mają, wietrzą oni sławnie. Poręba by nie skłamał — choć urwisz! Zaraz z gębą na zamek! z długim jęzorem do Czecha!! Jabym go za to powiesił.. Dał jeść, pić, a potem puścił nań ogary — dobra mi gościnność!

Jak się Łoktka doczekamy, warto mu za to krwawą łaźnię sprawić!

— Ojezulu! kochany mój! — patrząc nań i wpół go obejmując zawołał Marcik — ażeście odmłodnieli!

— Co myślisz? Gdybym pana mego zobaczył, krzyknął Zbyszek ręce składając — na prawdę by mi może młodość wróciła. To człowiek cudotwórca.

Gwarzyli tak śmiejąc się, gdy Zbita, która z wieczerzą się dla Czechów wstrzymała, poczęła kaszę ze słoniną na misę wykładać, aż zapach od niej rozszedł się po izbie.

Syn i ojciec poczuwszy ją, oba się zwrócili ku stolowi.

— Idźcie jeść, aby darmo nie stygła! — powoływała Zbita.

Zbiegli się do misy, na którą czeladź się też ogłądała, stary Zbyszek miał ręce umywać, gdy stukanie nieśmiale i powolne do okiennicy słyszeć się dało.

Z początku przeżegnali się tylko sądząc, że zły duch się im jaki przekomarza, ale gdy pukanie się powtórzyło, Marcik śmielszy ku oknu się zbliżył.

Z podwórza dochodziło jakby szeptanie i mruczenie.

— Albo Czechy powróciły — rzekł Zbyszek — albo... licha już wie co o tej godzinie może być?? Zbóje?

— Nie otwierajcież po nocy lada komu — dodała Zbita — djabeł nie śpi, kto wie jaką złą

duch może przybrać postać? Ktoby pocziwy
ważył się po nocy na taką burzę?

Zbyszek niespokojny, rozgorączkowany łyżkę
za pas wetknawszy sam też pobiegł słuchać do
okna, Marcik do sieni aby wyjrzeć otworem. Za-
mieszało się w chacie, a stukanie do okiennicy
nie ustawało.

Gdy po długich szeptach i naradach Marcik
w rękę wzięwszy obuszek, odważył się drzwi
przemknąć, aby z ludźmi małą gromadką spo-
kojnie w podwórku stojącemi rozmówić się —
gdyż proszący o przytułek zbójcecko i napastliwie
nie wyglądali; spotkał się naprzód z dość słu-
sznego wzrostu mężczyzną otulonym opończą,
który dla zbłąkanych podróżnych od Ślązka jadą-
cych o jaką godzinę speczynku w chacie upraszał.

— A gdzież tu u mnie dla was wygodą
w takiej biednej chizynie? — odparł Zbyszek od
progu — ani miejsca dosyć ani strawy.

Przybyli poczęli się naradzać między sobą.

— Myśmy się tu tylko co Czechów z Krakowa
Ulrychowych zbyli — mówił gospodarz — i tych
musieliśmy częstować a zapasów nie mamy.

— Czechów? jakich? — zapytano z gromadki.

Głos, który Zbyszek posłyszał tak go tknął,
że zadrżał...

— Boskowiczowych ciurów — odparł — którzy
włóczą się po okolicy sami nie wiedzą kogo
szukając...

— Powiadają — dodał Marcik — że Łoktek się kędyś z martwych powstawszy zjawił i za nim się puścili. Radziby go mieć!

Gdy to rzekł, pomiędzy przybyłemi gwar się wszczął wielki, zrozumieć nie było można co mówili. Spierali się o coś. Jeden mimo wszystkich podedrzwi podjeżdżał i chciał do chaty.

Marcik rozeznał tylko gdy ktoś rzekł.

— A no dobrze, kiedy raz byli, rychło tu nie powrócą.

Człeczek mały, krępy, natychmiast z konia się zsunął i rozpychając drugich szedł do dworku. Za nim trzech jeszcze pospieszyło i Zbyszek także.

Właśnie na ognisko świeżo skalek dorzuciła Marucha — zapalało mocno, światło padło na wchodzących, którym się z wielką przyglądano ciekawością.

Państwo to było jakieś, ale nie wielkie, ludzie nędznie poodziewani, w opończach grubych, po których znać było, że na gołej ziemi często legiwały. Twarze zbiedzone i pomęczone, odzież obmokła, obówie wychodzone. Pomiędzy niemi Zbyszka najwięcej zajął ten co był najniepozorniejszy; mały, średnich lat mężczyzna, krępy, zdrów, czarno zarosły. Patrzył nań, przyglądał się, oczy mu na wierzch wychodziły, ręce począł łamać, usta się otwarły i nagle na kolana przed nim padłszy, twarzą do ziemi — krzyknął.

— Pan mój! pan mój!

Słowa te jakby żarzewiem na gości rzuciły. Ci, co małemu towarzyszyli, obstąpili go i już z nim do drzwi chcieli, gdy on śmiało naprzód wystąpił i do Zbyszka się zbliżywszy, rękę mu kładnąc na ramieniu — rażno zawołał.

— Pokaż twarz? coś za jeden?

Gdy światło padło na nią, podumał kęs i rzekł.

— A toć — Zbyszek Suła? he? ty coś ze mną długo wojował, i na Ślązku i pod Krakowem i w Krakowie onej nocy, cośmy się zmniszyli? Pamiętasz! tyś to jest.

Śmiał się a oczy mu błyszczały.

— Dobra wróżba starego spotkać wojaka — dodał — he! Znowu na wojnę pójdziemy!

Mówił a drudzy się rozstępowali — można mu się było lepiej przypatrzyć.

Mały był bardzo ale jak z jednej bryły wyciosany — na twarzy, w oczach, w uśmiechu, na czole, męztwo, rzeźkość jakaś okrutna i wiara w siebie napiętnowane były. Każdy je musiał przeczytać, nikt omylić nie mógł. Nie piękny był z twarzy, w której surowości i dumy wiele było, ale powaga jej, energja, poszanowanie wrażały.

Człek był z rodzaju tych, co ich chcąc nie chcąc słuchać drudzy muszą — umiejący rozkazywać, czujący w sobie do tego prawo. Mały, gdy stał wśród takich co go nie głową ale dwoma i trzema przerośli — zdawał się nad wszystkich większy.

W ustach, na czole śmiały mu się wspomnienia tych wypraw na Śląsko w r. 1297, gdy mszcząc się urąganiu książąt Wrocławskich z wyboru jego na króla i przezwiskom pogardliwym, jakie mu nadawali, szyderstwom ich niepocziwym — wpadł na ich ziemię i spnstoszył je okrutnie.

Lecz jakże innym się teraz wydał ów Łoktek w oczach starego żołnierza! Pod te czasy miał jeszcze błyszczące zbroje, orszak książęcy, purpurowe płaszcze i hełm złożony — choć wszystko to pono za pożyczany grosz kupione było. Pamiętał Zbyszek ową kite, którą do hełmu przypinał, aby się trochę słuszniejszym wydawać. Naówczas książęco występował — a teraz!

Z pod opończy starej i zabłoconej przeglądała zbroja dawno nie czyszczona, piersi jego okrywająca; miecz u pasa wisiał w prostych pochwach czarnych, hełm miał lichy i pogięty. Towarzystwo też jego nie lepiej było poodziewane i zbrojne.

Zbyszek patrząc nań z radości tak drżał, iż przemówić mu było trudno, przyciągnął tylko syna przed księcia, kazał mu na kolana paść i w rękę go całować.

— Syn mój! — rzekł.

— A żołnierz taki dobry jak ty? — spytał Łoktek.

— Posłużywszy u Miłości Waszej, — zawołał stary, — będzie on lepszy nademnie. Weźcie go

ino z sobą! Poszedłbym i ja za wami, ale nie zdłużam już. Zaniemóglbym kędy na drodze.

Łoktek wpatrywał się w Marcika.

— A no! — rzekł — zdałby się. Teraz, czy później, nie wiem.. Ludzi mi trzeba dużo.

Otaczający księcia widząc go tak bezpiecznym, poszli strażę postawić do koła chaty. — Łoktek zbliżył się do ognia ręce grzejąc, a miał je tak duże i silne, jak u najroślejszego chłopca, żyłaste i namulane.

— Cóżście to mówili? — zwrócił się do Zbyszka. — Czechy tu was nawiedzili, szukając mnie i tropiąc? Jużci to wiedzą o mnie?

— Na biedę, — rzekł Suła, — który z radością niezmierną usługiwał staremu panu, prawie oszalały szczęściem tem, że go oglądał. Opowiadali tu, że Poręba stary, co Miłość Waszą przyjmował u siebie onegdaj, wczoraj do Ulrycha przybył i dał mu znać o tem.

— Poręba! — powtórzył Łoktek smutnie podnosząc głowę. — Któżby się po nim spodziewał? Kłaniał mi się do stóp, płakał wrzekomo z radości. Tacy oni dziś mało nie wszyscy...

W oczy mi nie rzec nie śmieją, a boją się i radziłyby siedzieć w spokoju choć pod obcym — i —

Nie dokończył. — Potem na pół głośno, jakby do siebie mówił.

— Nie na tym jednym dworze drząc, mnie ugaszczali, oglądając się, niby ciesząc, a w rze-

czy trwożąc i przeklinając, żem się żyw ostał.
Na nikogo tu nie liczyć pono, aż się siła zbierze.

W tem Zbyszek przyszedł z pokłonem.

— Liczcie na starych, co wam służyli — zawołał niemal ze łzami — rachujecie na pewno. My byśmy się za was ubić dali.

Smutnie kłapiąc go po ramieniu rozśmiał się Łoktek.

Milczenie jego mówiło wiele, jak gdyby:

— A co mi po was, biedacy?

W tejże chwili posepna twarz jego się rozjaśniła. Nie był to człowiek, coby smutkom a trosce dał się gryźć jak rdzy i zjadać. Rozpatrzył się po izbie ubogiej, po ludziach biednych. Towarzysze jego właśnie wracali do chaty. —

Na stole misa z kaszą woniała.

Zbyszek kłopotał się skrobiąc w głowę.

— Czem my tu Miłość Waszą w tej nędzy przyjmujemy? czem ugościm? — mruczał. — U nas strawa licha!

— Jakbyś zgadł, żeśmy głodni, — odpowiedział Łoktek, — a kto głodny, nie przebiera.. Pamiętasz stary, żeśmy nieraz o suchym chlebie, o wodzie z kałuży nie jeden dzień trwać musieli. Ja też z wami!

Mówił to wesoło poglądając ku swoim, których twarze blade wydawały głód i znużenie.

— Jak dziki zwierz jużem się po pieczarach i jaskiniach chronić musiał — mówił dalej —

i pod drzewy w błocie legiwać. Żołnierska rzecz żyć jak się zdarzy.

I z wolna zaczął się zbliżać ku misie.

— Słuchaj Zbysz — rzekł. — Nie objemy my was? Macie więcej tej kaszy, byście przez nas nie byli głodni?

Zbita żywo porwała się z kąta.

— Jedzcie zdrowi! — zawołała — choćby na pół kopy kaszy i słoniny starczy, a i wędliny kawał się najdzie.

— I piwo Świdnickie, tylko go już omal — rzekł Zbyszek. — Aby tylko nie z drożdżami, bo już u spodu...

Książę śmiał się i już na ławie siadał do stołu, drewnianej lipowej łyżki szukając. Ci co z nim byli, siadać się nie ważyli razem — czekali z dala. Nie patrząc na nich, książę się wziął do misy. Jadł, ale widać było, że o jadle nie myślał.

Marcikowi przypatrywał się z uwagą. Chłop miał w oczach bystrość wielką, dał mu znak, aby bliżej przystąpił.

— Poczciw być musisz jak twój ojciec? — odezwał się. — Nie zdradzisz mnie?

Marcik rękę na piersiach położył. Mały ten pan już i jego rozgrzewał i rad był mu się przyśłużyć.

— Pół mili ztąd do Balic — zapytał Loktek — juści nie więcej?

— Prawie i tyle na prost nie ma, — ozwał się Zbyszek.

— Tem lepiej — dodał książę. — Po nocy tam dojechać nie ulękniecie się?

Marcik się rozśmiał białe zęby pokazując. Nie lękał się on niczego w świecie, nie było to ani w jego naturze, ni w obyczaju. W Krakowie najtęższe zbóje jego się obawiały. We trzech nani nie rażno było.

— W Balicach, — mówił pan jedząc ciągle — musi być pod ten czas Topor, co go to Miecznikiem zową?

— Toć od niego tę chatę trzymamy — dodał Zbyszek.

— Ten dawniej bywał ze mną — rzekł Łoktek.

— Prawda! — zamruczał Zbyszek trąc głowę, ale postarzał się bardzo i zbabiał trochę młodą żonę sobie wzięwszy.

— Ja tam do Balic do niego sam nie chcę — mówił książę — abym dobrego człowieka szukając, na złych nie trafił. Jedź że ty, na ucho jemu tylko samemu szepnij kto cię przysłał. Zechce-li do mnie, przyprowadź go, a zawaha się, rzuć go nie mówiąc gdzie jestem.. Rozumiesz?

Zbyszek głową potakiwał ręką, że syn się sprawi dobrze, Marcik też ochoczo opończę z kolka zdjawszy, skoczył do szopy po konia.

Łoktek tym czasem jadł, piwa postawionego napił się trochę, chleb czarny krajał nożem u pasa

na rzeminyku zawieszonym — i wesoło po tem towarzyszów wezwał do kaszy i wędliny, — sam na drugą ustępując ławę.

— Zbyszek — zawołał po chwili, ziewnąwszy. — Jam to pono nocy dwie tak dobrze jak nie spał, a trzeciej mało co i na chłodzie. Daj ty mi gdzie legnąć. Zbroi nie będę zdejmował, przywykłem do niej, nie zacieży mi — kto wie, co się przydarzyć może?

A no — legnę.

Nie mając lepszego nad włane posłanie, powiódł go ku niemu Zbyszek. Ledwie na nie spojrzawszy, maly pan zaraz legł, płaszczem krzyne oczy przysłonił i wnet — chrapać zaczął.

Towarzysze jego szepecząc cicho, dali znać, aby i drudzy się też tak znajdowali. Sami na lawach posiadali raz jeszcze wyjrzawszy na strażc.

Na dworze cicho już było, księżyc świecił z chmur porozrywanych, które się po niebiosach tułały; szparko go to zasłaniając, to odkrywając. Las spoczywał, szum jego ledwie slychać było.

W chacie też stała się cisza, tylko maly ogieniek, który na palcach chodząc utrzymywano, potrzaskiwał niekiedy, miotając iskrami do koła. Noc tedy nastała, każdy gdzie kto mógł przyległ na lawie lub na ziemi. Pospali się wszyscy, ale gotowi zbudzić za najmniejszym szelestem, coraz to głowy podnosząc i nasluchując, a usypiając znowu. —

Widać było niekiedy otwierające się niespo-

kojnie oczy na wpół uśpionych i wysiłek znużonych, którzy od twardego snu bronili się jak mogli. Wstawał czasem który z towarzyszków księcia, na palcach do drzwi podchodził, wysuwał się do sieni, zaglądał na podwórze do straży i wracał nazad odpocząć na ławie.

Choć do Balic pół tylko mili było, ale nocą się do nich dostać, do śpiącego pana dostać, poselstwo takie sprawić, z łoża go wziąć, do Łowczej przywieść, dużo czasu zabrało.

Już prawie na dzień się miało, gdy konie posłyszano u drzwi i wszyscy pobudzili się i zerwali krom Łoktka, który spał twardym snem kamienym człowieka spokojnego, niedbającego wcale, że za głowę jego nagrodę wyznaczono.

III.

Z Marcikiem do izby wchodził już mąż poważny w rysim kożuchu, w kołpaku z soboli, blady, twarzy pięknej lecz jakby wylękłej, pańskiego oblicza i postawy.

Nieznający go nawet, pierwszy raz widząc mógł się w nim domysleć jednego z tych, których ród zdawna nawykł był rej wieść, pierwszy głos zabierać, na przednim miejscu zasiadać.

Wchodząc, ciekawie się rozglądał po izbie, szukając oczyma tego, dla którego przybywał.

Ujrawszy go jeden z towarzyszków Łoktka, z sukni do duchownego podobny, poszedł obudzić pana.

Książę choć twardo spał, zaledwie go tknął, zerwał się na nogi, tak przytomny i pamiętny

gdzie był, iż ani chwili nie potrzebował do opamiętania się po śnie głębokim.

Mieczyk nie wiedział jeszcze co poczynać, gdzie go szukać, gdy książę wyszedł naprzeciw i pozdrowił go.

— Mieczyk! Bóg zapłać!

Dał mu rękę silną, którą ten pocałował, ale choć poszanowanie mu okazywał, obawy w nim widać było więcej jeszcze niż innego uczucia. Mały pan zdawał się to rozumieć. Dał znak ręką swoim, aby się oddalili. Mieczyka poprowadził ku ławie, na której usiadł.

— Spodziewaliście się wy ujrzeć mnie kiedy? zapytał książę zdumiałego i przypatrującego mu się Toporezyka.

— Pragnęliśmy was nie raz — odezwał się z powagą chłodną pan z Tęczyna — ale spodziewać się jakbyśmy mogli, kiedy oto czwarty już rok słuchu o was nie było, krom, żeście W. Miłość pono w Rzymie pobożni byli.

Ludzie mówili wszysej, że już was nie ujrzemy. Tymczasem u nas wiele rzeczy srodze się przemieniło.

— I gdyby Bogu się nie podobało uczynić cudu — począł Łoktek — nie powstałbym już ja na tej ziemi, ani bym kiedy ujrzał żonę, ni mógł pomyśleć o tem co mi wydarto! Ale Bóg raczył sprawić cud, wierzę, iż go dokona.

Tak, chodzę pokutę sprawiać za grzechy

do Rzymu i widziały tam oczy moje to czego za żywota naszego nie ujrzy już nikt.

Troje drzwi kościoła bożego na rozścież ludziom otwartych, wielką uroczystość przebaczenia i łaski, na którą krocie tysiące co dzień biednych do grobu Apostołów spieszyło.

Tam padłem i ja na kolana przed Bonifacym Papieżem, skarżąc mu się na Czecha najezdnika, co sobie moją przywłaszczył koronę. Biskup najwyższy rzymski wziął mnie w opiekę, a mocen jest ten przed którym, jako przed Cesarzem i Papieżem noszą podwójne znamię krzyża i miecza!

W nim ufam, że potężną dłonią strąci z głowy Wacława przywłaszczoną koronę. Nie komu ona tylko mnie należy — bom ja do niej był wybrany!

Gdy to mówił, patrzył na Toporezyka, który słuchał z poszanowaniem ale małą wiarą. Niezważając na ten chłód jego, Łoktek coraz goręcej ciągnął dalej

— Tak! mam za sobą i niosę potęgę Rzymu. Was wzywam, pomóżcie mi. Obcych ludzi niewoli sromotnej się pozbadźcie, a kto mi teraz rękę poda — najwyżej go postawię, stokroć odpłacę.. Dziś mi jeden droższy, niż bywało dzieściu.

Topor milczał długo nim się na odpowiedź zebrał.

— Pomódz W. Miłości — rzekł po namyśle —

któżby z duszy nie rad? Swojemu panu! a no — żelazną ręką trzymają nas Czechy z Brandeburgami. Na nich iść, potrzeba sił daleko większych niż nasze. Mieli dobry czas się usadowić, oszańcować, ludzi sobie jednać i nastraszyć.

Loktek głową strząsnął.

— Gdy wszyscy tak mówić będziecie — rzekł — a ręce wam opadną, pewnie, że im nie podobamy.. Małe siły gdy się skupią, wielkimi się staną — kraj to nasz, my w domu, a oni gospodą. Wielkich sił nam nie trzeba.

Czechów policzcie. Gdy się ziemianie wszyscy poruszą, zmożemy ich i przegnamy. Walnej bitwy dawać im nie będziemy, ja na jedną kość nie postawię wszystkiego. Rwać ich i kasać musimy to sam to tam, aż im tu życie obrzydnie. Byłem jeden, drugi gródek zdobył — za tem pójdą inne.

Oczy mu się paliły, Topór słuchał.

— Miły panie — rzekł. — Chwila nie potemu. Czech nie sam; będzie miał Niemców zastępy z sobą, Brandeburczyk z nim, jedna ręka. Siła ich straszna, cały kraj dzierżą do morza. Co tu począć? jak nam nawet pomyśleć o tem? Czekać trzeba, znajdzie się, dali Bóg, sposobniejszy czas..

— Mnie każecie czekać? — oburzył się Loktek. — Przecież wiecie, iż nigdy nie umiałem czekać, a i czasu na to nie mam. Czterdzieści kilka ciężkich lat mam już na głowie! Kto wie

ile mi ich zostaje? Dla mnie i doba droga. Najlepsza pora gdy się nie spodziewają.

Wyciągnął ręce do Mieczyka.

— Chodźcie ze mną! zbierzcie się potajemnie! Nie już wam Waclaw tak zasmakował?

— Nie, miłościwy panie. Czech nam cięży strasznie — odparł Topor — ale zębami kamienia nie ugryźć. Ślżacy pójdą z nim, Ottony Brandeburskie, król rzymski też pewnie... Kto wie ile i jakich Niemców — a z nami? kto? Żywej duszy. Kraj się zaburzy, krew się poleje, mścić się będą, plądrować — my, my jeszcześmy po tatarach nie wytchnęli.

Miły panie! posłuchajcie lepszej rady! Ponowićby z Waclawem układy, niech Papież Ojciec święty lub z ramienia jego Biskupi pośredniczą. Oddadzą wam Kujawy i Sieradz, weźmiecie lennem od niego — spoczniecie po tylu utrapieniach.

Usłyszawszy to Łoktek skoczył z ławy, cały rozogniony i gniewny.

— Wy mi to mówicie? — zakrzyknął. — Ja z rozbójnikami się układać? Ja ich prosić aby mi ochłap mój rzucili? Ja lennikiem tego, któremu równy albowiem lepszy? Raczej zginąć marnie w boju! Sromoty bym tej nie przeniósł! Ja nie o pół, nie o ćwierć tej ziemi wojuję, ani o trzy ćwierci, ani o szmat jakiś, na którymbym chleb jadł polewany łzami — ale o koronę moją, o jedność państwa tego co Chrobrowe było!!

Ja bym miał rękę podać do ćwiertowania tego, co się ledwie zrastać zaczęło? Ja? Mieczyku mój! Zabyliście mnie, alboście nigdy nie znali. Wolę się tuł. i jak wygnaniec, niż prosić łaski gdy mam — prawo!

Wolał namiętnie z oburzeniem takim, iż Topor spuścił głowę, zawstydził się — ale go ta gorącość nie objęła, nie przekonała... Schylił się jak do ręki księciu, który mu ją usunął.

— Wielką żalność waszą — rzekł powolnie — każde serce uczuje. Swojego pana ze krwi własnej mieć, każdyby rad, choćby zdrowiem przypłacił, ale tu i życie dać, darmo! niepomóż! Spójrzycież na ziemie te — zajęli wszystko! Załogi ich siedzą wszędzie, wielkorządcy po wszech ziemiach. W Kamienicy, w biskupiej, nową twierdzę wznoszą, Kraków w ich rękach, Poznań, Sandomierz, Sieradz, Płock; rycerstwo mają doskonałe, zbroje dobre, ludu dosyć!

— A my serca mamy małe! — zawołał Łoktek gniewnie. — Cóż rzec? Omyliłem się na was, Mieczyku! zestarzeliście u ognia w domu, serce wam wyschło, strach z ciepłego kąta wyjść w pole. Darmo! Ufałem w was i zawołanie wasze... Starża niegdy przy panach swych stała! a dziś?!

Nic dokończył. Topor to rumienił się to bladł.

— Panie miłościwy — odezwał się urażony. — Żądajcie od nas czem byśmy wam miłości naszej

dowiedli, damy wszystko — ale wojnę poczynąć bez nadziei, na ślepo...

— Ja mam i oczy i nadzieję — przerwał mu Łoktek porywczo. — Nie chcecie wy? pocznę ja sam z garścią, z kupką najemnika... Od was zaś ja już nie żądam nic — bo albo do wszystkiego prawo mam, lub, skoro królem uznajecie najezdzcę tego, przywłaszczy cię, świętokradzcę, tom ja dla was niczem... Żebrakiem nie będę...

Topor stał z rękami zwieszonemi jak winowajca.

— Najezdzca ten — ciągnął dalej Łoktek — ma tylko takie prawo jakie mu wasza maloduszność daje. Powołuje się na dar Gryfyny, a stara szalona baba nie mogła mu tego dać czego nie miała — ani Leszek jej darować kraju, który nie jego był. Testament faleszny jest i kłamany.

Papież Bonifacy pisał doń i w liście mu zadał zuchwałe przywłaszczenie — pozwał go przed sąd swój, nie uznaje królem. Korona to wydartą mnie, i ja ją z pomocą Bożą — odzyszczę.

Ostatnie słowo wyrzekłszy gwałtownie, uspokoił się i pohamował.

Topor stał, słuchał, lecz zimny był jak skała.

— Zaprawdę — rzekł zmięszany usiłując złagodzić Łoktka — chyba byście u książąt jakich znaleźli poparcie, ale — gdzie?

— Wiecie polskie przysłowie, że książęta powinowatych nie mają, a tem mniej przyjaciół — odparł mały. — Nie odezwę się nawet do żadnego.

Na ziemian rachowałem, chybią mi oni, jak ty, Mieczyku, pójdę na srom wam szukać posiłków u obcych — i znajdę je. Przyjdziecie mi się dopiero kłaniać gdy siłę poczniecie, ale naówczas ja was znać nie będę! jak wy mnie teraz znacieście nie chcieli.

Topor poruszony krok się cofnął.

— U jakich obcych chcecie szukać posiłków? — zawołał. — Miłościwy książę, nie uwodźcie się. Pomocy nikt wam nie da, a łatwo traficie na zgubę. Czekajcie lepiej, może przyjsć chwila, do której na Knjawach spokojnie dosiedzieć możecie.

Łoktek odwrócił się od niego i nie mu już nie odpowiedział.

— Żał mi — rzekł pomilczawszy spokojniej — żał mi żem was nadaremnie z ciepłego małżeńskiego łoża wyrwał. Niewiasta się za wami niepokoić będzie, wracajcież rychło, aby nie polała. Mnie też dłuższy spoczynek należał, bo długo jeszcze przyjdzie mi się tulać od bramy do bramy nim znajdę męznego serca ludzi. Na teraz choćby garść bym z nią na jakie gniazdo mógł uderzyć.

To mówiąc, nie patrząc na Toporezyka już, podszedł ku ognisku i znowu ręce zagrzewał.

Mieczyk postępował za nim z wolna, rozmyślając, nachmurzony. Wstyd mu było ale i strach także.

— Miłościwy książę — odezwał się — nie

odprawiajcie mnie z gniewem. Omyliłem się może.
Żal mi Was. Wieleż ludzi masz książę?

Łoktek odwrócił się śmiejąc ku niemu.

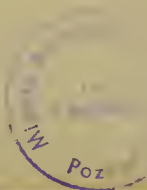
— Dotąd — rzekł — nie mam ani pół sotki,
ale więcej niż ludzi bo wolę ogromną mam i ufność
w Bogu niezachwianą. Ksiądz Stach kapelan mój
powiadał niegdyś, że wiara góry dźwiga i prze-
nosi — a moja taka jest, że grody wywracać będzie!

Tak — dodał. — Powiem wam więcej. Dzie-
sięciu grzywien przy nas wszystkich, gdybyś
strząśł cały orszak mój, pewnie nie znajdziesz.
Ubogi jestem, sam jak palec, żonę moją z miło-
sierdzia karmi mieszczanin ubogi, a wy, których
ojcowie chodzili razem z mojemi, wy, stary ród
rycerski — wy! opuszczacie mnie. Wiecie co?
Nie znajdę u ziemian posłuchu... do chłopów
pójdę, do chat. Ci się ruszą i skoczą do mnie*).
Ci wam srom uczynią.

Namarszczył się Topor, gorzko mu się stało,
zaciął usta; miał jednak tak mocne przekonanie,
iż nic nie można było dokazać przeciwko czeskiej
potędze, że i to go nie nawróciło.

— Daj Boże, miłościwy panie, abyście doka-
zali cudu — rzekł zimno — nam się widzi, że
z ziemiany czy z chłopami porwiecie się na dzie-

*) Długosz pisze, że później Łoktek więcej z chłopami
niż z ziemianami Sandomierskie zawojował. Fakt to wielkiego
znaczenia.



sięć kroć liczniejszego wroga... Krew tylko przelejecie napróżno.

Książę milczał w ogień patrząc.

— Micho! — odezwał się do jednego ze swych — niech szkapy będą gotowe. Na dzień tu czekać niebezpieczno, ten dla nas zdrajcą jak i ludzie. Musiemy dalej w las aby nas Boskowi-czowi nie pochwycili.

To rzekłszy zwrócił się do Topora z szyderskim uśmiechem.

— Do smaku wam więc pan Ulrych? — zapytał. — Słyszę, że człek gładki i powo!ny? Ziemian przyjmuje poufale na pościeli leżąc, a innych bez sądu zamyka do izbic na wałach? No i grosz z was ssie lepiej niż ja, choć na mnie też krzyczeliście żem go dużo brał — alem ja żądał na to bym państwa przysporzył, bo dla siebie nie potrzebowałem nic i rzadko lepszą miewałem niż dziś opończę.

Potrząsnął uśmiechając się szarą swoją sukmaną. Topor słuchał, serce mu się krajało.

— Dokąd myślicie ztąd? — zapytał po cichu.

— Trudno mi na to odpowiedzieć, Mieczyku — rzekł Łoktek smutno. — Gdzie oczy poniosą. Prosiłem Śreniawów, kłaniałem się Jaksom, stukalem do Toporów, zajeżdżałem do Różyców, wszędzie mnie tem co wy zbyt. Milujem, żałujem, nie możemy. Słowami wilk nie tyje. — Muszę innego szczęścia próbować.

— Byle nie wpaść w nieszczęście inne...
Boże uchwaj! — przerwał Topor. — Około
Krakowa Czechy się nieustannie włóczą.

— Wiem o tem — odparł Łoktek — ale gro-
madki ich nie wielkie, gdybyśmy się z którą
spotkali, zniesiemy ich.

Spojrzał na swoich butno, a ci mu rażno gło-
wami znak dali, że się nie lękają.

Poczekawszy nieco Topor jeszcze spróbował.

— Miłościwy książę — rzekł zniżając głos tak
aby drudzy go nie słyszeli. — Od lat tylu woju-
jecie, nie mogliście zwyciężyć, nie uczynić —
widoczna rzecz iż to czego pragniecie niemożliwe. .

Po co się kusić?

— Mylisz się, Mieczyku — zawołał Łoktek. —
Gdy się co dziesięć razy nie uda, właśnie spo-
dziewać się trzeba, że na przyszły raz lepiej się
powiedzie. Co myślisz? Ja wojować będę do
śmierci! Bóg nademną! Prawowity król wasz
musi do praw swych powrócić.

Ten niewieściuch Waclaw, co się czasu burzy
do kaplicy pod relikwje chowa, a od kota ucieka —
ten miałby być mi straszny?

— Nie on, ale lud jego i sprzymierzeńcy! —
westchnął Topor.

Tego książę już się nawet słuchać nie zdawał.
Postrzegł stojącego opodal Zbyszka i skinął nań
poufale.

— Stary — rzekł doń — zagrzejcie mi co

ciepłego, bo w pole potrzeba. Gdy Bóg da siądę w Krakowie na zamku, zapłacę ci za gościnę. Kury pieją, niewiem drugie czy trzecie, jechać czas, ranek chłodny — co ciepłego — żywo! Do brze, że wicher przycichł. Z gorącą strawą nie rychło się spotkamy.

— Panie miłościwy — zamruczał Topor — dopóki mrok jeszcze, do Balic bezpiecznie dostać się możecie. Sam poprowadzę was. Spoczniecie u mnie, nikt was szukać tam nie będzie i nie zdradzi.

— Bóg płąć! — odparł Łoktek zimno. — Spocząłem już, to dosyć, na dłuższe odpoczywanie czasn nie mam. Jechać trzeba.

Spojrzał na swoich.

— Konie? nie głodne?

Jeden z ludzi skinał głową. U ognia grzało się coś w garnuszku. Zbita i Zbyszek pośpieszali. Mały pan opończęą potrząsał, poprawiał ją, ociagał, na Topora zasmuconego już ani patrząc. Ten stał upokorzony odprawą, ale mówić już nie miał co, wyczerpał wszystko.

Książę jakby na przekorę, jeszcze mu rzucił.

— Przy zdarzonej zręczności, Mieczyku, dajcie Boskiewiczowi dobrą radę, powiedzcie mu, by darmo ludzi nie męczył posyłając w pogoń za mną — żyw się ja schwycić nie dam...

Raz mnie zdradziecko, niepoczciwe Czechy porwały i do sromotnego oprzysiężenia się i pod-

pisania zmusiły — drugi raz niedoczekanie. Jeszcze dotąd tego kawałka skóry, przy którym pieczęć moja zawisła — strawić nie mogę. Krwią bym moją zmazał to kanclerskie pisanie, w którym się im do Pragi stawić obiecałem!!

— A! szedlbym ja, szedł do tej Pragi, — westchnął — ale inaczej!

W kubku przyniesiono mu napój ciepły, a tuż i dworzanin przystąpił z hełmem i rękawicami, przypominając podróż pilną...

Loktek pił, wdziewał, a oczyma Zbyszka szukał.

— Stary — odezwał się — chciałeś mi syna dać? Niech na koń siada ze mną, nie zatracę ci go.

— On i koń gotowy, — odparł do kolan się chyląc Zbyszek — bierzcie go, Miłościwy panie, bierzcie. W ręku siłę ma, ale i język w gębie nie darmo.

Usłyszawszy to książę z ukosa spojrział na Topora.

— No! mam choć jednego już wojaka! — zaśmiał się — dobre i to na dzisiejsze czasy.. Bóg łaskaw.

Starego uderzył po głowie.

— Jakem żyw, syn twój nie zmarnieje — dodał.

Ruszył się i szedł już ku drzwiom, tym czasem Marcik pośpiesznie się z matką żegnał, ojcu

błogosławiącemu do kolan kłaniał, rad bardzo, że służbę sobie znalazł taką niebezpieczną, a szaloną, która mu najlepiej do serca przypadła.

Szeptał mu coś na ucho ojciec, wszyscy odprowadzali do progu. Topór szedł za nimi do księcia się zbliżyć nie śmiejąc.

Na dworze ledwie szarzeć zaczynało i maleńki wiaterek zrywał się, jakto bywa nad rankiem, poruszając górne drzew gałęzie.

Maleńka kupka ludzi otaczająca Łoktka, razem z nim, pod przewodem Marcika najlepiej znającego okolicę, puściła się ścieżyną w lasy i w prędee z oczów znikła patrzącym od progu dworu.

Przez drzwi otwarte, które Zbyszek zamknąć zapomniał, chłodem wiało w izbę pustą i ogniem miotło.

Topór zwróciwszy się od progu, padł na ławę zadumany.

Zbyszek, który tu na łasce jego siedział, teraz dopiero ochłonawszy i rozmyśliwszy się pomyślał, że należało go przyjąć i ugościć, aby z gniewem nie odjechał.

Miarkował, że i wyprawę Marcika za złe wziąć może, jakby daną sobie naukę. Zachodził doń z boku ostrożnie, czekając, aby nań spojrzał, lub sam przemówił; lecz Mieczyk długo siedział jak wryty na ogień tylko patrząc. Z twarzy namarszczonej widać było gorycz, co serce załala.

Dopiero dzień jaśniejszy, który przez błony

rybie w oknie przeglądać zaczął, zbudził starego pana z tej zadumy głębokiej. Popatrzał na Zbyszka, wskazał na drzwi.

— Pilno ci było — rzekł — syna dać na stracenie! Ciężył ci w domu? Coś to uczynił?

Zbyszek ręce rozpostarł, spojrzał ku niebu — westchnął.

— Panie mój! — zamruczał. — Trudno! za serce nas wziął! Chodziłem z nim dawniej! Syn i tak tu próżnował. Gorzej mu nie będzie z nim, jak bywało w Krakowie, z kąd często pokrzwiony przez Czechów powracał.

— Niepoprawny, uparty, nieszczęśliwy człek! — dodał Topor gniewnie. — Nie dosyć mu było lat kilkadziesiąt męczyć się, wojować darmo, nas targać, kraj niszczyć — jeszcze na zgubę leci! — Hej! hej! nie ze Ślązakami to pod Wrocławiem się parać, ani z drugimi małemi książęty!

Zbyszek milczał.

— Pożegnaj się z Marcikiem — dorzucił Topor. Oczy go twe nie zobaczą. On! on ani siebie, ni ludzi swych nie pożałuje.. Poprowadzi kędyś, wpadną w paszczę...

Słowa te trafiły do przekonania matki, która płakać zabrała się po synu.

— Prawdę mówicie, Miłościwy Panie — odezwiała się z kąta. — Stary mój zawsze za tym panem szalał. Gdyby zdurzał, poszedłby sam —

nie mógł, to choć syna oddał. I — posłał go! ot tak! na stracone imię!

Obwiniony Zbysz cofnął się do kąta, nie śmiejąc odpowiadać żonie, którą Topor popierał.

Siedział jeszcze Mieczyk na ławie, dzień się robił coraz jaśniejszy. Marucha w milczeniu garnki do ognia przystawiała, gdy znown zawieruszyło się przed chatą. Z krzykiem i wołaniem wpadli na podwórko Czechy, w znaczniejszej liczbie niż pierwsi, pomęczeni, zziązani. — Topor podniósł się z ławy. U drzwi stawiono straż, budynki obiegaliby do koła.

Ogromny drab wpadł z mieczem dobytym do izby, za nim tuż dwu zbrojnych, dalej kupa ich cała.

Spodziewali się tu kogoś pochwycić na pewno; ten co prowadził przyskoczył zuchwale do Topora, choć z ubioru widział, iż ze znacznym człkiem miał do czynienia.

Mieczyk do korda się miał oczyma ich mierząc.

Drudzy obalając wszystko i wywracając do komory pędzili, drzwi wywaliwszy, w beczki i nasypki tłukli.

Mieczyka otoczyła starszyna.

— Jest ptak w gnieździe! — krzyczał dowódca. Nie kłamali ci, co donieśli. Wyście tu z Balie na zmwę do małego księcia zjechali! On tu był! Wiemy wszystko. Gdzie on?

Topor namyślał się z odpowiedzią. Zbyszek strwożony oczy sobie przysłaniał.

— Ja się przed tobą, żołdaku jakiś — zawołał Mieczyk — tłumaczyć nie będę. Wiedź mnie do Krakowa, do Boskowicza, rozmówię się z nim po com tu przybył.. Tobie wara odemnie!

Śmiale to odparcie nie wiele pomogło.., żołdactwo zuchwale nie wiele na ziemianina godność zważało.

Dowódzca krzyknął już był rozkazując wiązać starego, gdy ten miecza dobywszy zagroził, że pierwszemu co przystąpi doń, leć ntnie.

Czesi klnąc, trochę się wstrzymali popatrzywszy na siebie.

— Pojadę z wami do Krakowa dobrowolnie — dodał Topor, — ale niech się mnie nikt tykać nie waży.

Napastnicy rozmyślali, nienawykli pobłażać nikomu.

Nastąpiła chwila ciężkiego jakiegoś milczenia. Topor, który nie chciał być zmuszony mierzyć się z ladajakiemi ciurami, dobył z pod kożucha kaletkę i rzucił im ją na ziemię.

Sam dowódzca, opasły, czerwony drab szybko się po nią pochylił, podniósł i pod oponczę schował.

— Do Krakowa musicie wszyscy z nami, wy, buntownicy! — zawołał.

Odwrócił się do bezbronnego Zbyszka i skinął na ludzi.

— Wiazać go!

Zbita poskoczyła, jakby go bronić chciała,

ecz stary dał jej znak i zawodząc z płaczu, odeszła do kąta. Sulę tymczasem postronkami zdjętemi z kołka skrepowano. — Nie mówił nic, ani się opierał.

— Syn twój gdzie? — zapytał Czech.

— Nie wiem — rzekł Zbyszek. — Toć nie dzieciak, ja go na pasku nie wodzę.

Topor spokojnie usiadł na ławie do koła otoczony strzegącym go żołnierstwem. Drudzy pod pozorem szukania Łoktka, trzęśli cały dworek, zabierając co pod rękę wpadło. Widząc to Zbita z rozpaczyny ręce łamała, mąż jej stał z rezygnacją starego żołnierza, dla którego to nowiną nie było.

Wiedział, iż w podobnych razach opierać się, żołnierza jątrzyć, niebezpiecznie. Jak w pożarze musiano ognio wi temu poświęcić czego uratować nie było można.

Padli zgłodniiali na chleb, na wędlinę, na reszty piwa, cokolwiek gdzie do zjedzenia było, resztę polcia słoniny tnąc w kawały i rozdzielając między siebie.

Marucha, Chaber, wyrostek, tulili się do kątów wylękli, aby razów uniknąć. Gdy wreszcie przebrało się jadła i napoju, krzyknął dowodzący na Topora, aby na koń siadał. Musiał on, wielki pan, ziemianin stary a poważny słuchać ciurów i iść rad, że się od wiązania wykupił.

Gdy konia swego dosiadł, otoczyli go ciasnem kołem, aby się im wymknąć nie mógł. Zbyszka

na sznurze popędzili pieszo, i klnąc a wykrzykując, zwrócić się z Łowczej wprost na Kraków.

Dworek stał ze drzwiami na rozcież otwartymi pusty, jakby go zbójcy nawiedzili, a czeladź nie ryehło ważyła się z kątów dobyć, aby ze Zbitą razeni rozpatrzyć się w strataeli jakie ponieśli.

Gdy gospodyni z ławy się ruszyła, aby do komory zajrzeć — nim do niej doszła, kilkakroć ją siły opuściły.

Wlokła się biedaczka i cofała tak ją seree bolało; wiedziała, że z tego co nagromadziła z taką troskliwością, mało co albo nie nie pozostało. Z p ogu dostrzegła cale spustoszenie, zerwano jej płótna, pochwymano przedzę, opróżnione stały statki.

Ciury obładowa'y się ile podźwignąć mogły, aby mieć co na targu sprzedać w Krakowie.

Czego nie dopili, nie dojedli a pochwycić z sobą nie mogli, to stratowali, powylewali i niszczyli. Zbita i Marueha jęczały, coraz na nowo wykrzykując boleśnie, zbierając garnków okruelhy, łamiąc ręce nad kałużami porozlewanego piwa i miodów.

Gospodyni kłąc zaezła dzień i godzinę, które tego nieszczęsnego księcia tu przyniosły — bo ten był przyczyną wszystkiego.

Wkrótce potem Chaber z Maruehą poczęli zwo'na ład w chacie przywracać, umiatać i zbierać co gdzie pozostało.

Zbita gorzko płakała — jeść co nie było. Szczeniściem odrobina groszy gdzieś się uchwalała, z tą więc musiała dla dowiedzenia się o losie męża i kupienia choćby chleba w ławkach, iść pieszo do Krakowa.

W tydzień dopiero z zamkowego więzienia wyprosił się zbiedzony i chory Zbyszek — i przywłókł do dworku. Zamiast się uradować mu, Zbita wpadła nań z wymówkami za syna, za to co ucierpiała, co stracili — przeklinała księcia.

Siebie dawał jej bezczęścić Zbyszek, lecz gdy Łoktka dotknęła, nasrożył się i najeżył.

— Słuchaj, babo długo-jęczyczna — zawołał. — Na mnie sobie psy wieszaj, jako chcesz... ale na mojego pana... wara! Jeszcze ty mnie będziesz w ręce całować i błogosławić tę godzinę, co go tu do nas przyniosła!

Taką w niego wiarę miał stary żołnierz naówczas, gdy inni się urągali.

Zbita umilknąć musiała.

Znalazł się w szopce stary garnuszek zakopany, z którego Zbyszek groszy dobył i młęcząc znowu małe swe gospodarstwo i zapasy na zimę opatrywać zaczął.

O Marciku gdy raz ztąd wyszedł, słuchu wcale nie było.

Po okolicach napróżno szukano i uganiano się za Łoktkiem, który miał się w różnych miejscach ukrywać, ale go nigdzie nie znaleziono.

IV.

Dwa lata spokojnie w Łowczej upłynęły, Zbyszek stary zeschły człek nie zmienił się nie, ani się posunął. Od wyprawienia syna owszem, na co matka tak narzekała bolejąc nad straconym, życia Zbyszkowi, ochoty do niego i sił przybyło. Weselszy się stał, rozmowniejszy, a że do Łowczej mało kto zawitał, ledwie mógł wytrzymać stary dzień jaki, żeby się do Krakowa nie puścił na słuchy i zwiady.

Rad się był o synu coś dowiedzieć, lecz nikt się o niego nie troszczył, wpadł jak w wodę.

Za to o Łokietku, którego za zgubionego mia-
no, urągano z niego i szydzono, coraz dziwniej-
sze dochodziły słuchy.

W rok jakoś opowiadano, że się na Węgry
udał i tam z pomocą jakiegoś Amadaja, przyja-

ciela swego, u którego był gościem — ścignawszy ludzi, garść najemnika, z nią do Polski powrócił.

Ziemiańskie ramionami ruszali, gdy w Krakowie rozpowiadać zaczęto, że książę opanował Pelczyńska nad Wiślicą, a wkrótce potem i z samej Wiślicy Czechów precz wygnał. Lndzie temu wierzyć nie chcieli, a w Krakowie nowy wielkorządca Frycek Szachowie wściekał się i odgrążał, wolając o posiłki do Pragi. Król Wacław stał podówczas na Węgrzech i o ludzi trudno było.

Potem jakoś gruclnęło, że Łoktek po Wiślicy Lelów opanował. Ci co biednemu dziedzicowi korony smutną przyszłość wróżyli, poczęli kręcić głowami. Ten i ów się odzywał:

— Kto go wie? — Uparty i mężny pan — gotów i Czechów poprzeganiać.

Ziemiańskie, którzy stronili od niego i chowali się, zwolna co śmielsi po cichu doń przystawać zaczęli, ale tak ostrożnie, aby broń Bożą mu się noga powinie — mogli nie przyznać do niczego.

Sily Łoktka rosły, z secin poczęły się robić tysiące.

Rzecz niesłychana, gdy mu rycerstwa prawego i ziemian brakło, prostych lndzi po chałtach brał, lud silny odziewał we zbroje i uczył się bić.

Niewolników brać się nie wzdragał, włosy u niego zapuszczali, siadali na cudze konie, bo

nie zważano czyj pod ręką się znalazł — i w pole szli.

Ziemiańom kwaśno było. Myśleli, a nuż z nich porobi takich jak my? a to czerń?

O tem wszystkiem słuchając w Krakowie w szynku u Szeluty Zbyszek, który się nie zdradzając najmniejszym słowem, w kacie siadywał, z głową spuszczoną drzemać się zdawał — gdy do dworku powrócił opowiadał Zbiecie z taką gorącością, że zawsze się potem pokłócili.

Ona niecierpiała pana tego, który jej zabrał dziecko jedyne, on w niego wierzył i pewien był, że Marcik na wielkiego człowieka przy nim urośnie. Czasem się tak daleko posunął Zbyszek, że babie milczeć nakazywał.

Drugiego roku przyleciał raz Zbyszek z wiadomością do żony, że król Wacław zmarł, i że Łoktek teraz na pewno zawojuje kraj cały. Mówiono, że nie żartem ziemianie się doń garnęli.

Syn Wacława jedyny, chłopaczek był niedorośli, swawolny bardzo, hulaka, pieszczoszek, więc z nim łatwiej poczynać było.

Raz opóźniwszy się do dworku, Zbyszek zbudził babę swą tryumfującą, wołając, że Marcika tylko co widać nie było, bo już w samym Krakowie mówiono, iż Wojewoda, Kasztelan i dużo innych znacznych ludzi, do Łoktka się mieli.

Czechy coraz groźniejsi, swarliwsi, ledwie się już na zamku trzymać mieli, a w mieście Niemcy głowy tracili nie wiedząc, komu się oddać i z kim trzymać.

Zbita na wpół już pokonana milczała, odpowiadając tylko mężowi, gdy chciał nad nią przewodzić.

— A Marcika przecie nienia?

Był znowu prawie taki sam wieczór jesienny, jak owego pamiętnego dnia, którego wspomnienie jeszcze Zbicie lży wyciskało.

Wiatr tylko jesienny szumiący na lasach daleko, tak silnym nie był i tak dzikimi nie odzywał się głosami. Na ognisku płonęły drewka suche i garnki stały do koła — Marucha siedziała z kądzielą. Zbita z założonemi rękami. Chaber strugał coś roztargniony, Kruczek zwinięty w kłębek przy ognisku spoczywał po trudach dnia, przez sen wzdychając.

Zbyszek, który się teraz nedorzecznym oddawał marzeniom, i często siadywał całemi dniami, snując z nich jakieś pasma złote — — patrzył w ogień, dumał, uśmiechał się sam do siebie.

Patrząc nań Zbita, ramionami poruszała litując się temu, co za nierozum brała.

Nadechodził już czas wieczery, gdy Kruczek, który przez cały wieczór nie drgnął, zerwał się nagle i uszy do góry postawiwszy — nie szcze-kając i nie burząc, podbiegł do drzwi samych.

Oczy wszystkich ścigały go, bo psisko było zmyślne bardzo i nigdy nadaremnie się nie poruszyło.

W tem i koń zarżał w podwórku a po głosie tym Zbyszek, Zbita, Chaber, wszyscy w piekleby byli poznali konia, na którym Marcik wyjechał przed laty dwoma.

Zerwali się z krzykiem, jak gdyby głos młodego chłopca posłyszeli. Zbyszek o mało nie upadł na drodze, tak prędko do drzwi się chciał dostać. Chaber, Zbita, cisnęli za nim.

Pod progiem półgłosem nucona ozwała się piosenka, którą tysiąc razy z ust Marcika słyszeli, gdy podchmielony wracał z Krakowa:

Borem, lasem, goło, boso —
Idę gdzie mnie oczy niosą.

Zbyszkowi, który sam porwał się drąg ode drzwi odwalać, ręce się tak trzęsły, iż ciężką tę kłodę na nogi sobie puścił i ledwie mógł w czas uskoczyć, aby mu ich nie przygniotła.

W progu stał, konia za uzdę trzymając — on, on sam — Marcik!

Nie widać było twarzy po nocy, ale ojciec poczuł go i ręce rozpostarł.

Zbita stała tuż — nie mówiąc nic, bo słowo z ust wyjść nie zdołało, tylko jakieś lkanie radośne.

Wiedli go do izby, chwytając za suknie — do ognia, żeby zobaczyć.

Zbyszek spójrzawszy o mało nie krzyknął. — On ci to był, on, ale co się z niego przez te dwa lata w dobrej szkole zrobiło!! Nie ten człek ociężały, obojętny, co z Krakowa bywało po piwsku powracał, aby się na ławie wyciągnąć, ale rycerz prawy, jakby urosły jeszcze, wyprostowany, słuszny, silny — na twarzy ogorzeliżna zdrowa, w oku żar i wesele. Na nim zbroja, choć się w niej przeglądać, świecąca, i opończa bramowana, pas mosiądzem nabijany jak złoty, miecz takiż, nóż jeszcze piękniejszy u pasa, hełm, siatkowa koszula na szyi, na rękach — wszystko nowe, piękne, jak ułał na nim leżące.

Piękny był, a stał tak się z sobą czwaniąc, jakby mówić chciał:

— A co? widzicie? Czasum nie zmarnował!

Śmiał się otworzywszy usta, z których białe zęby wyglądały.

— Marcik! Marcik! — powtarzano do koła.

Zbyszek do żony się odwracał zwycięzki. Spełniło się jego marzenie. Takim się go widzieć spodziewał.

Kruczek do nóg mu przypadłszy, skomlił radośnie, wachał, a cieszyło się biedne psisko, jakby ludzką duszę miało.

Dopieroż ścisnąć go, a sadowić a pytać poczęto. Zbyszek napierał gorąco, ale przybyły Marcik jakby mu czem usta zamałował — nie prawie z niego dobyć nie było można. Minę miał

figlarną, trochę szyderską, coś w sobie chował, mało co przez zęby cedził.

Najpilniej było ojcu dowiedzieć się o to, zkąd się tu wziął i po co. a na to właśnie on jasno odpowiadać czy nie chciał, czy nie umiał.

— Wojowało się, wojowało z naszym panem — rzekł — biedy i głodu długo zaznało. Musieliśmy uciekać, kryć się, ba i z kraju iść do Amadaja, któremu niech Bóg płaci. Ten nas dopiero na nogi postawił. Wprzód nim swoich, dostaliśmy najemnych Węgrów...

Gdy nas już była kupka, poczęli się i ziemianie rozmyślać niektórzy. — Ten i ów się przybłakał, zwłaszcza tacy, co o łeb swój nie wiele stali. No — i poszło. Wzięliśmy naprzód Pełczyska, poddała się wprędce Wiślica, Czechy z niej uciekły. Zabraliśmy Lelów...

Rozśmiał się ochoczo:

— Ho! ho! teraz już my druhów mamy i żołnierzy; Wojewodów i Kasztelanów — gdy starego Wacława nie stało! No — dodał schylając się do ojca po cichu — mało co, tylko nie widać jak i Kraków będzie nasz...

Zbyszek złożone ręce podniósł do góry, a potem ścisnąć jął syna.

— Toś ty się pewnie tylko wyrwał, aby nas starych pocieszyć, a długo tu popasać nie będziesz?

Spojrzeli sobie w oczy.

— Hm — rzekł zagadkowo Marcik. — Kto to

tam wie? Mnie pan odpuścił, abym sobie trochę odpoczął.

Zbyszek oddał usta, nie podobало mu się to.

— Kłamiesz — odparł rześko — alboś ty mi wstyd zrobił! Gdybyś ty dobrym był, książęby się ciebie nie pozbył tak łatwo, bo mu teraz właśnie najlepszych ludzi potrzeba! Chybaś już co zbroił?

Marcik się roześmiał głośno i raźnie.

— Ojczulu! niech ta Bóg broni! Pan ze mnie taki rad, że mi złote góry obiecuje! Ja u niego pierwszy, najwierniejszy sługa.. a no —

Nagle urwał jak nożem ciął i na ławę padł.

— No.. bo wid'icie — dodał zmienionym głosem — mnie się po dwóch leciech trochę wytchnienia należało.

Zbyszek niedowierzając głową kręcił.

— Jaki by z ciebie wojak był — zawołał — żeby ci się wylegiwać chciało, kiedy drndzy się biją? Gdy kto w tem życiu zasmakuje, potem w chacie dusznej siedzieć śmierci się równa.

Marcik na wymówki ojca nie zważając, wesół był jak na przekorę. Starego ścisnął, Kruczka głaskał, do matki się uśmiechał, z Maruchy starej drwił czy za mąż nie poszła. Chabra prześladował jakąś dziewczką z sąsiedztwa — ale o sobie mówić nie chciał, ani się myślał tłumaczyć.

— Jakiś czas muszę tu sobie posiedzieć — mówił do ojca. — Zateśniło mi się do Krakowa

i do Świdnickiego piwa u Szeluchty, albo i w Ratuszowej piwnicy. Radbym sobie trochę dawny żywot przypomnieć.

Ojcu to widocznie markotnem było. Krzywił się — ale matka ciesząc się z tego, zdala synowi głową pokazywała, że dobrze czynił. Spodziewała się nim nacieszyć.

W smutny, cichy dworek, nowe wstąpiło życie, przybyła z nim wesołość, odżyli wszyscy — Kruczek nawet opanowany radością jakąś wiekowi jego nieprzyzwoitą, drzazgi w zęby chwytal i bawił się niemi. Niewiele brakło, żeby własny ogon nie począł jak szczenie zaczepiać.

Widząc, że z syna poniewoli nie nie dobiedzie, Zbyszek dał pokój terażniejszości, i począł rozpytywać o to co było, i o swego najmilejszego pana.

Marcik teraz ojcowskie dla niego bałwochwaltwo całem sercem dzielił.

— To mi pan! — wołał. — Takiego drugiego na świecie nie ma! Z nim bodaj na kraj świata! Żeby do piekła szedł, człek z nim bezpieczny, że się i z niego wyrąbie.

Żebyście go to widzieli, gdy w bitwie pot poczuje, kiedy wodze w zęby chwyciwszy, oburącz walić zacznie! Gdzie się potknie, wszystko przed nim ustępować musi.

— Jam przecie z nim bywał, i dłużej niż ty —

przerwał Zbyszek. — Znam ja go. Na starość mu sił nie przybyło!

— Chyba tak! — zawołał syn. -- Straszny człek maleńki... Przez mury widzi.. nieprzyjaciela tropi jakby nań patrzył, wie kędy pójść musiał, zkąd mu zachodzić... gdzie go złapać. A jak powie: Tak ma być! — stanie się wedle słów jego. Prawda! z nim nie żartować! Zły u niego miru niema. Co rozkaże sprawić musisz albo łeb dać — nie pożałuje nikogo — a jak dobry, choć do rany.

— A com ja ci o nim mawiał? — zawołał tryumfująco Zbyszek. — Takim był i takim jest.

Oprócz tych pochwał i uniesień, nie już nie mogli z niego dobyć tego wieczora starzy. Powtórzył im tylko, że z niemi musi czas jakiś pozostać, a zaraz jutro do Krakowa na cały dzień.

Zbyszkowi i to nie w smak było.

— Po co do Krakowa — zamruczał — biedy pytać? Czechy się teraz lada czego boją, ludzi wszelakich na oku mają. Nie bez tego, żeby niewiedzieli gdzie i z kim bywałeś? Zobaczą, zważają, gotowi pochwycić i uwięzić...

Marcik głową trząsł.

— Nie wezmą mnie — rzekł. — Jam też nie głupi w oczy im leżę... Kraków znam jak moją kieszeń, ludzi tam przyjaznych znajduję, wiem kędy chodźć, a — pójść tam muszę.

Gdyby mnie najrzeli a spytali? powiem, żem

na Ślązku bywał i służył tam. Nic mi nie uczynią. Popoję ciurów i wyłgam się.

I powtórzył z naciskiem.

— Bo do Krakowa, gdyby jak — muszę — muszę.

Wieczora tego i nocy późnej do snu się im kłaść trudno było. Co się już zaczęli zbierać do spoczynku, rozpoczął jeden, zagadnął drugi, ozwała się matka i już przerwane gadanie na nowo się zawiązywało.

Nad rankiem dopiero znużeni legli, piwa dużo grzanego wypiwszy. Dzień był około połowy, gdy ciężko potem śpiący Marcik się przebudził. Obiad starzy bez niego zjedli, bo znużonego i kamiennym snem odpoczywającego budzić nie śmieli.

Oczy przetarłszy gdy wstał Marcik a zobaczył że tak późno było, markotno mu się stało, począł Chabra łajać że go zawczasu nie budził — bo mu się dzień miał zmarnować. Co było robić? Do misy usiadł i póki się nie pożywił, konia nie opatrzył, nie osiodłał, sam się nie przyodział — był już wieczór prawie. Przecież do miasta na gwałt się wyrwał, choć ojciec odradzał, bo czas był nie potemu.

— Późno jest, ale muszę — powtarzał Marcik uparty.

— Chyba dziś nie wrócisz? — pytał ojciec.

— Wrócę albo nie, niewiem, a zajrzeć tam mi potrzeba.

Matka dopiero grożąc mu bąknęła, że już chyba ową Gretę niemkinię zobaczyć chciał tak pilno, o której dawniej często prawił, że się w niej srodze miłował.

Rozśmiał się Marcik.

— Czemu nie? — zawolał. — Choć z nią przez dwa lata dużo się stać mogło, dziewczka była wesoła, niecierpliwa, piękna, ojciec bogaty, pół domu za nią dawali i jatkę, poczekawszy i więcej!! Swatali się do niej czechy, niemcy i gawiedź różna a jam jej zawsze mówił, że ja bo cię muszę mieć. I tak się stanie!

Jeśli ją za mąż wydali, męża gotowem ubić!

Mówił śmiejąc się — ale widać było, że mu ta Greta na sercu leżała.

— Srodze mi się za nią tęskniło! żeby choć w te ślepie jasne zajrzeć, co mi się czasem śmiały!

— A co ci po niemce? — ofuknął ojciec. — Żeby najpiękniejsza była, tak samo jak żydówka, inne plemię, sprosna rzecz o tem myśleć.

Marcik śmiechem na dobre wybuchnął.

— Co zaś! wykrzyknął — niewiasta gdyby poganką była, chrzci się pocalunkiem — gdy hoża a miła, ja z niej zrobię pokochawszy co zechcę!! A tę Gretę — muszę mieć!!

Zbita przeżegnała się i poczęła syna strofować, ale to nie przystawało do niego. Marcik, żołnierz, który już nieraz miast dobywał, a w zdobytych grodach pochwycałszy dziewczynę byle hożą, nie

pytał jakiej krwi była — lekce sobie ważył co rodzice mówili. Znać w nim było jednego z tych zapamiętałców, za których niegdy w Poznaniu pokutował Łoktek i chodzić musiał potem do Rzymu, tak srodze w klasztorach żeńskich dokazywali.

Z tej strony znalazł Zbyszek syna — ale miał też może co na sumieniu, na starość nie chwając się z tego, i pierwszy zamilezał.

Pomimo rady rodziców, Marcik pod wieczór wybrał się do miasta. Ci dopiero go odzyskawszy, gdy im znikł z oczów posmutnieli bardzo. Nie tał przed żoną Sula, że się o syna obawiał. Czechy były złe, podejrzliwe, okrutne, niemcom też wierzyć nie można było, a kto wie czy i swoim, których się tam wiele różnych znajdowało.

Rodzice potem długo na Marcika czekali, kury piałły jedne i drugie — dopiero nadedniem powrócił. A choć w drodze piwo miał czas wydychać, jeszcze znać było, że u Szeluty gościł długo.

Dopiero gdy go zobaczyli że z dobrą myślą powracał, śmiejący się, podśpiewujący — odechnęli starzy.

Marcik się zaraz obrócił do matki.

— Matuniu — rzekł — a tom ci moją Gretę widział, choć daleko pono do tego aby moją była — ale musi być! Nic nie pomoże! Miała już pono męża, którego jej, chwalić Boga, ubito na Okolu w browarze przy zwadzie... Ojciec jej

zmarł, owdowiała, wypiękniała, pani sobie!! Jeszcze śliczniejsza niż była — ale bo też nie wiem czy ma lat dwadzieścia!

— Co ci po niej — odparła matka. — Nie pójdzie za cię bogata mieszcza, ani ty się z jej ławką ożenisz?

— Eh! ożenię się, nie ożenię się, tego ja nie wiem — rzekł rażno Marcik — przynajmniej z nią wczasu zażyję. Uśmieję się, żartować z sobą daję, a choćby człek i pozwolił sobie, nie pokąsa. Nic mi po niej, prawda, a przecież na upór ją miłuję, i musi być moja!!

Ojcu się to płocze gadanie przykrzyło, zagadał że dobrze iż go tam Czechy nie pochwycili, na co Marcik ręką pogardliwie machnął.

— Czechy! — rzekł — nie długo oni patrzyć będą, aby się sami ztąd cało dobyli. Zacznie im wprędce być ciasno.

Marcik przez drogę wygłodniawszy już, prosił aby mu się pożywić dano, nimby się spać położył. Dopytywali go rodzice ostrożnie co porabiał w Krakowie.

— Jeszczem nic nie poczynął, bo się trzeba rozpatrzyć — rzekł przybyły. — Mało kogo widziałem, z niewieloma mówiłem, bom trochę n tej wdowy zagrzął i zasiedział...

— A no, pokój byś dał tej przeklętej niemce — burknął Zbyszek — jakby mało innych było.

Rozpusta to i nic więcej, a u niej cię niemcy lub czechy przydybawszy potłuką jeszcze...

Marcik lekce to sobie ważył.

— Nie mają za co się rwać do mnie — rzekł. — Każdemu przecie z hożą niewiastą pocziwie się rozmówić wolno. Ta wdowa jest, nikt do niej nie ma nic — pani sobie. Spotkałem u niej Niemców dosyć i różnych ludzi — radzi mi byli!

Rodzicom się to dziwnem wydawało, lecz Marcik teraz u nich coraz więcej na powadze zyskiwał — pomyśleli, że wie on co robi.

Nazajutrz choć późno spać poszedł, wstał Marcik do dnia, obudzić się kazałszy Chabrowi. Konia osiodłał zaraz i jakby mu pilno bardzo było, ledwie się posiliwszy znowu ruszył do miasta.

Ojciec z tego pośpiechu i milczenia dorozumiewał się, że musiał mieć coś ważniejszego do czynienia, niżeli dawną znajomą Gretę nawiedzać.

Pytać zaś go nieśmieli, gdyż mówić nie chciał, zatem nie mógł. Znali go z tego, iż rad się wypaplał z tego co miał w sobie, gdy mu było wolno — więc gdy usta miał zawarte uparcie, nie musiało to być bez przyczyny.

Zbyszek zmianę wielką upatrywał w synu, po dwóch latach niewidzenia. Straszniejszy był, bystrzejszy, doświadczenia nabrał a nawet z powierchowości już na ładajakiego ciurę nie wyglądał. Odzieży z sobą w sakwach przywiózł dosyć i pięknej, choć nie wszystka była do jego miary

i na wojnie gdzieś musiała być poodzierana. Na ówczas nikt tych zdobyczy za złe nie miał, bo żołnierz, zwłaszcza nie płatny, łupem żył, brał go gdzie mógł i chlubił się tem, nie wstydził. Kaletę też miał Marcik nabitą dobrze, którą ojcu do schowania dał, szerokich groszów pragskich z niej rodzicom coś zaofiarowawszy. Matce dostał się też i łańcuszek złocisty niczego i kolce gdzieś na wojnie zdobyte. Rodzice dumni byli tym synem, który powiadał ciągle jak wielkie u księcia łaski miał. Zbyszek odgadywał, że może nawet przez niego do Krakowa na zwiady był wysłany.

Zdało się to i tem potwierdzać, że jakkolwiek chciałby był doma spocząć, powracał późno i na-
zajutrz rano nazad do Krakowa spieszył.

Trwało tak z tydzień może, rodzice się uspokoiłi, że w Krakowie mu nic nie grozi, kiedy sobie tak śmiało poczyną, gdy jednego dnia nocą powróciwszy Marcik, ojca wziął na rozmowę do kąta.

— Słuchajcie — rzekł. — Może się tak złożyć, że do mnie tu kto z Krakowa dla pogadania przybędzie.

Prawda, nie mamy ani gdzie ani czem przyjmować tak bardzo, ale się na to nie patrzy — byleśmy sami, swobodnie mogli rozhówr prowadzić. Ja z rana ruszę jeszcze ztąd, z południa może z kim wrócę. Niemców kilkun z Krakowa nadciąganie. Niechby się matka postarała choć o kołacz,

ser i piwo..., abyśmy wstydu nie mieli, głodnych odprawiawszy.

Zbyszek się trochę w głowę poskrobał, mając na pamięci, jak go Boskowiczowi ludzie, razem z Toporem chwycili i pędzili — jak go potem więziono. Obawiał się, aby coś podobnego nie przytrafiło się znowu. Domyslał się spisku jakiegoś.

Marcik dorozumiawszy się tego, wesoło ojcu zaręczył, że strachu żadnego mieć nie powinien. Zbita, choć niechętnie, poczęła myśleć o tych gościach zapowiedzianych, lamentując tylko, że ją przy ubóstwie na srom narażano.

Z Marcikiem się jednak nie sprzeczała, trzeba go było słuchać, czuli, iż przez niego sam pan im rozkazywał.

Jak tylko zaświtało Marcik już był na koniu i zniknął.

Wymieciono chatę, okryto stół, z miasta Zbyszek przywiózł co mógł dostać, gotowano się z piwem i z miodem, z kołaczami białymi i z mięsem dla gości...

Z południa zarzął koń Marcika, i z nim razem wszedł do izby człek sucherlawy, więcej do klechły niż do rycerza podobny, nie osobliwie zbrojny, przygarbiony, z oczkami małemi, które przymrużał, gdy chciał co zobaczyć.

Nie młody już był, nie przystępny jakiś, nie zręczny i nie nawykły pewnie ni do podróży, ani

do ludzi nowych — jakby się zasiedział gdzie i nie wiele ruszał.

Choć odzież na nim zamożnego bardzo nie oznaczala, Marcik go z uszanowaniem takim wiódł i sadził, a on też miejsce pierwsze tak sobie za należne przyjmował, iż Zbyszek się w nim znacznego kogoś domyślił.

Posadzono go na ławie. Gość wcale jakoś do rozmowy ochoty nie okazywał, oczki przymrużał, chrząkał, paska poprawiał i czekał.

Zbyszek przysiągł by był, że to kawal klechy, gdyż nóg mu ostróg brak'o, a miecz przy nim wisiał, jakby niewiedział, co z nim robić. Częstowano go piwem — odmówił, małeńki tylko kubek miodu i chleba białego kawalek przyjął, a z temi się pieścił do jedzenia i p'cia nie okazując wielkiej ochoty.

Kilkakroć na Marcika niespokojnie wejrzał, ten go za każdym razem uspokajał szeptaniem i za drzwi chaty wysuwał się nasłuchiwać i wyglądać.

Doczekano się wreszcie gości z Krakowa, którzy wozem przybyli. Tych, chociaż odzież była skromna, Zbyszek, który często około Ratusza i po rynku się przechadzał, a ludzi ważniejszych w mieście znał, bo mu ich nie raz palcami pokazywano — poznał w nich bogatszych mieszczan, kupców i rajców miejskich. — Pawła z Brzegu i Żurdmiana z Pisar.

Pookrywali się byli na drogę staremi płaszczami, czapki pobrali wyszarzane, lecz gdy ich do izby wprowadzono, z pod wierzechnich szat ukazały się dostatnie i czyste, jakie ludziom zamożnym przystały. Przyodziani byli niemieckim obyczajem, broni nie mieli, tylko obuszki w rękach, a noże u pasa.

Paweł z Brzegu, Ślązak dawno osiadły w Krakowie, tuszy był okazałej, twarzy kragłej, świecącej, oczu wypukłych; Żurdman więcej szwaba przypominał płaską a wyrosłą postawą, nogami szerokiemi i jak pletwy kaczce rozpostartemi. Oba z pewną obawą wszedłszy do dworku za Marcikiem, pociągnęli ku ławie, u której ich już czekał pierwszej przybyły człeczek z oczyma przymrużonemi.

Wnet syn, nie wiele myśląc, wszystkim, ojen i matce nawet z chaty się wynosić kazał, aby ich samych zostawiono. Co też spełniono. Zamknięto drzwi i Marcik sam tylko stanął ich pilnować.

Pawłowi z Brzegu i Żurdmanowi milczącego człeka ukazał Marcik jako Sędziego Smiła.

Jak czasem w lesie psy i zwierz, gdy się zetkną z sobą niespodzianie, długo na się patrzą, zęby sobie pokazując i siłę swą starając się zmierzyć — tak chwilę pewną krakowscy goście i Sędzia Smił, przypatrywali się sobie milczący. Dopiero Marcik niecierpliwy zagaił.

— A co! panowie Rajcy — jakby to o przyszłych losach miasta się pogadało?

Ostrożny Paweł, otyły, przebaknął.

— Czy tylko czas o mieście mówić, kiedy nad niem w zamku, choć wygorzałym Czechy siedzą jeszcze, i trzymać się myślą?

— Tak jest — dodał Żurdman — miasto samo nie da sobie rady, póki sprawa króla Wacława się nie rozwiąże. — Czech jeszcze mocny jest.

Smil Sędzia ze słowami też okazał się ostrożny — nim je z ust puścił. Żuł je wprzód dłużej, nim rzekł pół glosem.

— Miasto przecie nie będzie samo, gdy ten pan co już Czechów ze znacznej części kraju wygnał — stanie u bram, a sprawę miejską za swoją weźmie.

Rajcy milczeli oglądając się.

Rozmowa jak bryła lodu potrzebowała czasu by powoli roztajać mogła i płynąć — patrzono na się z niedowierzaniem.

Wybaknął Paweł, iż miastu należały przywileje Leszka Czarnego aby je potwierdzono, że ono musiało mieć swój rząd, sąd, własne prawa, bez których oni się ostać nie mogli.

Smil temu nie przeczył, lecz szeroko o tem mówić jakoś nie chciał.

Wtedy Żurdman dodał, iż oni pierwszemi być nie mogli, ale ostatniemi nie będą; że na gwałt przy Czechu trzymać się nie chcą, ale pierwsi

go nie zdradzą, bo jeszcze by mścić się miał czas, a silny był.

Paweł syknął ośmielając się przeciw Czechom, że oni zbyt wielkich opłat od miasta wymagali, nakładali nań ciężary i surowemi się okazywali, że na Okolu zakładali miasto nowe, powoli je łącząc z zamkiem, co groziło miastu staremu które samo sobą być chciało. Z zamkiem ono nic wspólnego mieć sobie nie życzyło, oprócz wierności księciu czy królowi.

Z naciskiem to mówił takim, jakby chciał dać poznać, że do Czecha się nie przywiązali, bo ich uciskał, a i do innego się nie przywiązał, głyby im też chciał odejmować swobody.

Smił słuchał z uwagą.

Rajcy twardo przy tem stali, że gdy Czechy osłabną — oni się opierać nie będą, ale dla Łokietka pierwsi poczynać nie mogą.

Dopiero Sędzia zabrawszy głos, wielkie im łaski zapowiadać począł, i nowe nadania. Na to Żurdman rzekł, iż radzi je przyjmą z wdzięcznością, byle tylko zbyt drogo ich opłacać nie przyszło.

Pierwsze to zetknięcie się wysłańca książęcego z miastem Krakowem nie przyniosło żadnego skutku, krom, że się wzajem wybadano. Sędzia Smił chwalił pana swojego Władysława, obiecywał wiele; tamci przebąkiwali coś, nie przyrzekali nie, chcieli za drugiemu pójść, ale na przód wyrywać nie przyrzekali.

Rozmowa ostrożnie prowadzona trwała bardzo długo. Marcik niecierpliwy to jedną, to drugą stronę coraz jakim słowem popychał, aby do końca doprowadzić umowę. Smit i Rajcy udając, że nie słyszą — półgębkiem pomrukiwali.

W ostatku otyły Paweł i płaski Żurdman spójrzawszy na się raz i drugi, wstali z ławy i dosyć uprzejmie pozdrowiwszy Sędziego ku drzwiom się mieli.

Smit ich nie zatrzymywał, a Marcik dopiero za progiem, gdy na wóz włązili, począł im żywo wymawiać, iż nie chcieli nie sprawić i darmo go zwiedli.

— Ależ pilnego nie ma nic — odparł Żurdman. — Przecie tyleśmy zyskali, że wiemy z jednej i drugiej strony czego chcemy i czego spodziewać się możemy.

W tem woźnicy kazali nazad do miasta.

Smit milezący siedział za stołem.

Marcik do izby powróciwszy, choć z uszanowaniem do Sędziego się zbliżył, zapytał go kwaśno, czemu Niemców większymi obietnicami nie starał się pozyskać.

Klecha potrząsł głową.

— Lepiej żeby Niemcy wielkich się od nas rzeczy nie spodziewali, — rzekł sucho. — Pan nasz około siebie drugiego pana nie ścierpi.

Marcikowi po żołniersku zdawało się, że można było obiecywać, aby za łeb wziąć, a wzią-

wszy za łeb niekoniecznie dotrzymać. — Smił inaczej myślał i za daleko iść nie chciał.

— Gdy ziemian i ziemię mieć będziemy—do-kończył — przyjdą oni sami prosić się do nas, a płacić drogiemi przywilejami za to co bez nich wziąć można — nie warto!

V.

Noc była, a choć niebo wypogodzone iskrzyło się gwiazdami i księżyc pełni blizki sypał na ziemię światłem srebrzystem — w mieście wśród ścian, plotów, dachów, murów — gdziekolwiek nie padły białe jego promienie — tem głębsze panowały ciemności.

Światło księżycowe na to przeznaczone się zdalo, aby zwiększało mroki. Ostro odcinały się kawałki ścian gliną lepionych, na które blask padał, od pogrążonych w zimnych i czarnych cieniach nocy.

O wczesnej naówczas godzinie wiertelnicy i ich stróże wywoływali gaszenie ogni i zamykanie domostw, a razem z mrokiem poczynaly w mieście krążyć piesze zbrojnych pacholków warty

nasluchując pod niektórymi domostwy, czy wrzawy nie usłyszą, bójki jakiej nie napatrzą.

Oprócz nich mało już kto ważył się w ulicę, bramy miejskie były zamknięte. Przesuwali się tylko pod ścianami złodzieje i nocni łotrzykowie, lub opóźnieni w szynkach i browarach, do domu powracający opoje.

Główne miasta ulice widok przedstawiały ma-
lowniczy i dziwaczny.

Gdzieniegdzie stały z wysokimi dachami domy, a obok nich nie zabudowane dworzyszcza, wśród których za parkanami kupy kamieni i drzewa przygotowane leżały. Dalej były i niskie chatki, poprzdzielane ogrodami, i drzewa podnosiły się nad parkany z obleciałemi już z liści gałęzmi.

Wśród domostw drewnianych tu i owdzie wyrastały i mury poczętych kościołów lub klasztorów, w większej części jeszcze rusztowaniami pootaczane; wyżej podnosiła się kwadratowa wieżyca ciężka — kamienica biała, kawał muru i drewniane ściany.

Ulica niby równo wytknięta, wyginała się jednak w miejscach wielu to zwężając, to rozszerzając, a wśród niej widać było gdzie padały promienie księżyca powybijane głęboko koleje, kałuże pozarzucane chrustem ladajako, doły, kamienie i ślady kół wozów ciężkich.

Na jednej polaci ulicy oświeconej księżycem

rysowały się wyraziściej ganki wyższych domostw z załomami głębokimi i wystającymi rzeźbami, słupy podsieni, pozapierane szczelnie okna jatek i mieszkań, i owe stolnice do ścian przyparte, które we dnie do sprzedaży służyły.

W innych dworach gdzie cień padal od szerokiego okapu, okiennice nie szczelne przepuszczały złotemi paskami nie pogaszone światła wewnętrzne. Od strony przyciemnionej światło to czerwone kładło się aż na ziemi i pogarbione na gruncie nierównym, jak wstęgami przerywało mroki.

W pół cieniach zlewało się wszystko w jedną masę szarą wśród której ledwie wyraziściej pozbilone murów kawałki wychodziły.

Wśród ciszy głębokiej panującej w ulicach, po drogach i placzkach wyludnionych — z domostw niektórych załatywały okrzyki i głosy stłumione. Lecz, jakby się lękały zdradzić nawet, przycichaly.

Szmery tylko różne rozeznąć było można wśród głuchego milczenia nocy. Błędne psy bezpańskie z nosami powieszanemi wietrzyły po śmietnikach kości — kupy ich zalegały kąty, bo gospodarze nie bardzo się troszczyli o ich nprzątanie.

Stuknięcie drzwi, skrzypienie wrót ciężkich, pisk wietrznika na dachu, szczekanie podwórzowych stróżów zdradzało, że nie wszystko spało jeszcze.

W rynku ciszej było, niż gdzieindziej, krom piwnicy Ratuszowej, która choć już niby zamknięta, pełną jeszcze była przypóźnień w niej poufanych gości.

Okolo długo wyciągniętych kramów i kupieckiej gospody, nocne straże snuły się nieustannie, grzechotkami dając znać o sobie.

Na nichie mury rozpoczętego kościoła Panny Maryi, przy których, jak w większej części innych budowli ciężkie rusztowania stały — ściany Ratusza i kilka wyższych kamienie do koła, ciemno się zarysowywały.

Miasto na pozór śpiące — w istocie jak żółw w skorupie z życiem swem we wnętrzu się kryło.

Straże co się snuły po kwartałach przystając niekiedy, nasłuchując i przypatrując się, najlepiej wiedziały o tem. Nie ludziło je to milezenie przymusowe, znali oni mieszkańców każdego domu i wiedzieli gdzie się co ukrywać mogło. Okolo niektórych budowli zakradali się ciszej, przysuwali do ścian, przykładali ucho do okiennic i czekali czy podejrzanego nie posłyszają głosu.

Czuje ich uszy czyhały tylko na okrzyk jaki, wołanie o ratunek, jęk stłumiony lub stukot gwałtowny, aby wpaść do domu i pochwycić winowajców.

Polów każdy był im pożądanym.

Szczególniej gdzie stały łaźnie, gdzie były szynki, gdzie przy licznych browarach sprzedają

wauo piwo — nasłuchiwali miejsca pacholkowie i dowódzca, który ich prowadził.

Gdy powolne a ciężkie kroki ich i chrzęst żelaztwa, którem byli okryci, daly się słyszeć zdala, widać było wśród mroków przemykających się ludzi nocnych, co się im w ręce popaść lękali. Kryli się oni w najciaśniejsze zaułki, zwane kątami, przytulali do parkanów, a niekiedy szukali bezpieczniejszego schronienia po cmentarzach otaczających kościoły.

Największa różnaitość budowli czyniła miasto po księżycu widziane — obrazem, wśród którego polamanych linii i zagłębień gubilo się oko — i błakało niemogąc dojrzeć nic oprócz pstrej szachownicy światel i cieni.

Obcy przybysz nie latwo by tu znalazł drogę. Miejscami zdawały się urywać ulice, kończyć miasto, wieś rozpoczynać, wtem nagle wyrastała jak wyspa czarna kupa budowli i murów, lub kościół murem opasany. Domostwa nawet sznury pól i zagonów przedzielaly. W środku miasta ściśnięte domy im bardziej odbiegały od tego ogniska, tem rzadsze siedziały i bardziej osamotnione.

Okolo Mikołajskiej bramy szczególnie uderzało domostwo jedno, które o lepszą nawet z Ratuszem iść mogło.

Stało ono podnosząc się dosyć wysoko; znaczniejsza część jego z grubego muru jakby w skale

zdała się wykutą. Po rogach półbaszty nadawały mu do zameczyska podobieństwo. Ze wgłębień, w których małe okienko poumieszczane były — rozeznawało się łatwo, jak potężne rozmiary miały ściany.. Od ulicy ogromna ława kamienna biegła pod domostwem całem, której wyslizganą powierzchnię księżyc jak śniegiem obsypał swym blaskiem. Jedyne drzwi wiodące do wnętrza, całe opancerzowane żelazem, nabite gwoździami, z zamkiem floresami misternemi okolonym, obronne były jak wrota twierdzy. Przy nich dwa kamienie wgłębione, do gaszenia pochodni służyły.

Dom u dołu pod ławą miał okna tak gęstemi kratami obwarowane, że światło dzienne przez nie mało się do wnętrza wdzierać musiało. U góry okienka też wąskie pozaokrągłane w górze, okiennicami z wewnątrz poprzysłaniane były.

W jednym rogu gmachu tego coś jak poczęta wieżyca kwadratowa podnosiła się na dach, ale zdawała się nie skończona, i płasko tylko przykrywały ją deski i rusztowania. Od domostwa głównego panującego nad miastem dumnie, mury grube i wysokie sunęły się opasując podwórca. Do nich przypierały szopy i drewniane kłecie.

Dworzysko to wyniosłe, mocno stojące nad grodem, w istocie nad nim panowało. Było to mieszkanie dziedzicznego Wójta miasta Krakowa, który tu dzierżył władzę najwyższą, pobierał

dochody, rządy i sądy miał w ręku, a był jakby udzielnym księciem niemiecko - polskiego mieszczaństwa stolicy, nie bez wpływu na inne grody. —

Albert, terażniejszy Wójt krakowski, a można było powiedzieć pan Krakowa, po ojeu już odziedziczył tę władzę, a sprawiał ją nie mając po nad sobą nikogo, oprócz prawa niemieckiego, którego sam był tłumaczem... U boku jego stali Rajcy miejscy i Ławnicy, na których wybory wpływ miał stanowczy...

Rodem był Niemiec, jak najznaczniejsza część nowych osadników odradzającego się po tatarskiem zniszczeniu miasta — stolicy.

Musieli się z nim rachować panujący, njmując go sobie, bo i siłę zbrojną miał na zawołanie w mieście i bogactwy wielkimi miejskimi i własnymi rozporządzał, a znaczenie miał równe wielkorządcy na zamku.

Na zamku siedział książę lub namiestnik jego, w grodzie tak samo Wójt. Był to pan możny i mocen; czuł się też tak silnym, że na równi stawał z najdostojniejszymi, a nie ustępował nikomu.

Domostwo Wójtowe mogło i książąt przyjmować a na owe czasy wspaniałe było jak książęcy zamek. Z kupieckiego wyszedłszy stanu, handel mając na wsze strony otwarty i ułatwiony, Wójt Albert miał sposobność we wszystko się zaopatrzyć, czego owe czasy dostarczyć mogły do

wygód i wytwornego życia. Dostatki dozwalały mu a urząd nakazywał żyć po pańsku.

Rodzaj dworu, dosyć licznego otaczał tego królika miasta, który miał swego kanclerza, notaryuszów, podkomorzych, komorników, czeladź mnogą i strażę.

W późnej godzinie dnia tego płaszczem okryty mężczyzna otyły, krągły, toczący się jak baryłka, podchodził do małej furty bocznej domostwa Wójtowego — i uderzył w nie kilka razy.

Wrótny, który miał izdebkę u wnijscia, otworzył zaraz ogarek niosąc w rękę i rozpoznawszy przybysza, a powitawszy go dosyć uniżenie choć z pewną poufałością, powiódł go świcząc na małe wschodki ciasne, kamienne, które w grubej ścianie jakby wykute były.

U góry znalazły się drzwi drugie, do których też zapukać było potrzeba, te otworzył wyrostek jak paż ubrany, pięknej twarzy chłopak strojny. Zobaczywszy przybywającego powitał go po niemiecku z rozjaśnioną uśmiechem twarzą.

W małej izdebce do której wchodzili, z pułapem grubemi rzeźbionemi belkami na kwadraty podzielonym, nie było nikogo. — Pachole wiodło gościa dalej.

Parę wschodków w dół i ciasną sionkę przeszedłszy znaleźli się u drzwi, któremi wpuszczono przybywającego do komnaty obszernej, z pułapem ozdobnie belkowanym. Ogień się palił i światło

jasne odbijało się na bogatych jej sprzętach. W środku stał właśnie jakby oczekując na przybywającego mężczyzna w czarnej, długiej sukni zwierzchniej, w krótszej pod spodem łańcuchem przepasanej z pańską postawą, dumną, z twarzą surową i brwiami rozrosłemi najeżoną.

Był to Wójt dziedziczny miasta Krakowa Albert. Znać w nim było, że się tu czuł panem, nawet z powitania gością, który mu się nisko pokłonił, a ledwie skinieniem głowy i pół uśmiechem był wynagrodzony.

Twarz pana Wójta, mimo tej powagi i dumy, miała w sobie coś niespokojnego, czego pokryć obojętnością nie umiała.

W tej chwili może nie czuł się tak silnym jak okazać pragnął. Puszył się też tem mocniej.

Rysy twarzy dosyć regularnie już wiek dojrzały i życie znacznie poszczerbiło. Około oczów gromadziły się zmarszczki i fałdy, przy ustach pozapadały policzki, na czole występowały naprężone żyły. Ognia jednak i żywości było jeszcze dosyć na tem obliczu namiętnem, energją wielką napiętnowanym. Patrzał bystro tak jakby mógł z samego wniścia i twarzy gościa wyczytać co przynosił.

Izba, w której się znajdowali, była razem sypialnią Wójta i jego ulubioną komorą. W rogu stało łóże rzeźbione, ze słupkami i zasłonami jedwabnemi, a na niem pościel miękka i wygodna

już do spoczynku leżała przygotowana. Na stoleczku u wezglowia złocisty dzban i takiż kubek zawierał napój do poduszki (Schlaftrunk.)

Na drugim większym stole stał krzyż, leżało ksiąg parę, kilka zwitków pergaminowych z przywiesistemi pieczęciami i drobny sprzęt różny.

Szafa rzeźbiona, police także ozdobne, ławy poduszkami powyścielane, świecznik u pułapu mosiężny, opony na ścianach wzorzyste, wszystko to opowiadało o bogatym panu, który sobie niczego odmawiać nie potrzebował...

Zdjęty przed chwilą łańcuch ciężki złoty, leżał na skraju stoła.

Przez wąskie drzwiczki otwarte w głąb domu widać było ciemne przejście do dalszych izb słabo oświeconych. Cisza panowała w mieszkaniu, ogień tylko pryskał. Dwaj Niemcy spojrzeli po sobie. Wzrok Alberta pytał.

Otyły przybysz z krągłą twarzą lśniącą, Paweł z Brzegu, przybliżył się zwolna ku niemu.

— Cóż dobrego przynosicie mi? — zapytał Wójt krok także naprzód występując.

Paweł zlekka poruszył ramionami.

— Dobrego nie i nie złego — rzekł zwolna. Jeździliśmy z Zurdmanem na zwiady. Chcieliby miasta dostać nie potrzebując go zdobywać.

— Mybyśmy też radzi szturmowi uniknąć — odparł Wójt. — W żadnym razie nie godzi go

się wystawiać na zdobycie i rabunek. Łoktkowych ludzi znamy!

— Ale Czesi na zamku jeszcze — mówił Paweł głową kręcąc. — Chcąc się od szturm Władysława ratować, moglibyśmy na łupieżką wycieczkę Czechów się wystawić, To też powiedzieliśmy mu...

— Któż był? — spytał Albert.

— Sędzia Smił...

Wójt skrzywił się nieznacznie.

— Obiecuję on wprowadzić uroczyście, że wszystkie prawa nasze potwierdzone zostaną — mówił Paweł — lecz nie ochotnie, jakby z musu...

A patrzy koso...

Wójt przeszedł się po izbie parę razy.

— Wacław i czesi ciążyć nam zaczynają — rzekł powoli. — Z tego, co na zamku słyhać co z kraju wieje — być może, iż oni się tu nie utrzymają. Wacław ma zanadto wiele spraw na młodej głowie. Ziemian sobie naraził. Łoktek szalony jest i śmiały — może wziąć górę!

Ha! nie cieszyć się nam z tego, ale z musu znieść trzeba... Wolilibyśmy książąt Ślązkich widzieć na Krakowie, niż tego małego włóczęgę, który w swe żelazo wierzy, nie poszanuje nic...

Z nim, z czasem gorzej nam być może niż z Czechem. Nie ma pieniędzy, wiecznie ich potrzebuje, nienasycony, a obcych i Niemców nie cierpi.

Tak, pewnie, Ślęzak każdy byłby od niego lepszym — ale ci się ważyć nie zechcą a Władysław ziemian już sobie zjednał.

— Poszli więcej ze strachu niż z miłości dlań, szepnął Albert... Jego jedno chyba rycerstwo miłuje, a u niego żołnierz pierwszy. Księża się go boją. Biskup nasz bardzo się nań krzywi. Ten tak myśli jako my i z nami trzymać będzie.

— Tak, — powtórzył Paweł — Ślęzak by lepszy był — ale Władysław męstwem i rzutnością ubieży innych. Co robić!!

— Dobrze ważyć trzeba jak postąpić — rzekł Albert. — Poddamy się gdy będziemy zmuszeni, radzi nie radzi... Miasto ocalić potrzeba.

Chwila długiego milczenia nastąpiła, czasu której Paweł z nogi na nogę przystępował, a Albert chodził i w ogień patrzył...

— Umowy nie było żadnej?

— Na tem skończyliśmy — rzekł Paweł z Brzega, iż pierwsi nie chcemy być, ale i ostatni nie będziemy.

— Dobrze! powtórzyliście im słowa moje — przerwał Wójt. — Wkrótce rozwiązać się muszą wątpliwości, szala się przechyli.

I znowu po przestanku i dumaniu, począł.

— Na zamku złe jakieś wieści mieć muszą — ale tają się z niemi. Czytam im to z twarzy, kłamią przedemną.

Głosili wprzód że młody Wacław idzie już

z wojskiem potężnem, — umilkło coś o tem, Twarze zaszępiłe i chmurne. Wiem, że z Ołomuńca przybiegł goniec jakiś, ale go zamknęli. Ten pewno nie nie musiał przynieść im dobrego.

— Tajemnica ta, jeśli jaka jest, nie uchowa się długo — dodał Paweł. — Nie poczekamy na to...

Rozmowa przeciągnęła się jeszcze i przeszła na miejskie sprawy. Paweł w końcu pożegnał Wójta, który jak książę udzielił urzędnikowi, głowy skinieniem tylko na pokłon odpowiedział.

Za drzwiami znowu pachole czekało na gościa, który tą samą drogą jaką wszedł, wrócił do izdebki odźwiernego i na ulicę. Wolniej oddychając po zdaniu sprawy z poselstwa, krokiem mierzonym posuwał się Paweł ku domowi. Zamyślał się jednak, stawał, ważył, przypominał, i niezupełnie zdawał uspokojony. Ten sam wy-czekiwania trwożliwego stan, dawał się postrze-gać w całym mieście.

Na spalonym zamku, który Czechy zaledwie odbudowywać a raczej klecić poczynali, ruch nawet nocą widać było niezwykły. Dołączywały ztamtąd wrzawa jakaś i krzątanie się w godzinach spoczynku dziwne. Nieopodal od dworca Wójtowego w Rzeźniczej ulicy, zastukał Paweł z Brzega do własnego, skromniejszego ale dostatnio i czysto wyglądającego domostwa. Świeciło tu jeszcze, bo w jatkach, które do niego nale-

żały, świeżo zabitego wołu mięso na jutrzejszą sprzedaż przygotowywano.

Paweł sam już tylko nadzorem zwierzchnim swego rzemiosła się zajmował, a przy robocie zastępował go młody czeladnik Hans, który naprzeciw niego wyszedł w fartuchu z wiszącym, zakrwawionym nożem u pasa i rękami zakasanymi.

Chciał go pytaniem jakimś zatrzymać, ale Paweł ręką rzucił i spieszył odpocząć w izbie, w której ogień widać było.

Hans popatrzał za odchodzącym z ciekawością pewną, i zawrócił do szlachtuza, w którym wesole głosy chłopców ćwiercujących mięso i śmiechy słyhać było.

Dom Pawła z Brzega wcale do Wójtowej kamienicy nie był podobnym — Drewniany, obszerny, wygodny, nie kusił się o żadne państwa pozory. Jedna duża izba na dole, w której właśnie ogień płonął jasny, służyła za stołową i gościnną, a nawet i za kuchnię. Bliżej ogniska pozawieszane były sprzęty kuchenne — patelnie, misy, garnki stały na policach.

Dnia tego wszysko już było ukończone, naczynia poustawiane, a nie młoda jejmość w sukni czarnej, opiętej, z rękami założonemi spokojnie na ławie siedziała. Sługa z kądzielą drzymała w kącie.

Gdy Paweł wszedł do izby, stara po chodzie go poznając, wstała milcząca i poczuwszy się do

swego obowiązku przygotowania mu nocnego napoju do poduszki, zabrała się do płukania skłenicy. Pora była ogień gasić i iść do łóża. Paweł jednak nie spieszył do sypialni obok otwartej, w której światła jeszcze nie było — przeszedł się zadumany po izbie, pogrzał u ognia i starą, jakby teraz dopiero zobaczywszy, zapytał cicho.

— Nie było Greta?

Pytanie to zdało się na niej nieprzyjemne czynić wrażenie, pomarszczona jej twarz wykrzywiła się niesmacznie, spojrzała na gospodarza i odrzekła.

— Na cóż wam ta Greta potrzebna?

— Ah! — odparł swobodnie Paweł — moja stara Anchen — Greta nie tylko mnie opiekunowi i powinowatemu, ale ludziom wielu potrzebna jest na świecie.. Zda się ona każdemu!

— Tak! tak! — mruknęła stara Anchen — wycierając kubek i niepatrzac mu w oczy — Greta się zda wielu na utrapienie. Wszyscy wy, nie wyjmując ciebie starego, coś jej stryjcem i opiekunem, odkąd ojca i męża straciła — wszyscy wy dajecie się jej bałamucić, a ona o żadnego z was nie dba!

Paweł rozśmiał się.

— Anchen moja! — odparł. — Jeżeli też kto oprócz ciebie, popatrzywszy na mnie powiedzieć śmie, iż niewiasta bałamucić może taką starą baryłę.

— A przecież tak jest! tak jest! — rzekła upierając się przy swoim stara Anchen. — Tyś taki zaślepiony jak i drudzy — aż mi wstyd!

Paweł, któremu wyrzuty te pochlebiać się zdawały, śmiał się a oczy mu polyskiwały.

— Oj! Greta wasza! — poczęła szydersko gniewnie szepleniąc stara Anchen. — Greta ma głowę do tego, żeby cały świat durzyła. Rozmawiają się w niej Czechy, Polacy, nasze Niemcy — kto żyw! Nawet ten głupi Hans!!

— O! i ten? — przerwał śmiejąc się Paweł. — Dobrego mu się zachciewa.

— A jej wy wszyscy nie w głowie! — mówiła Anchen — a co u niej w głowie, jeden Bóg wie! Bawi się wami jak dziecko lalkami. Kogo chce sobie zyszcze, byleby rzuciła okiem, mrugnęła. uśmiechnęła się... Każdy głupi szaleje...

Ruszyła ramionami

— Gdyby nieboszczyk mąż jej żył — dodała — tenby ją był może utrzymał, bo zazdrosny był. Na jego szczęście zabito go — bo płochą jest... Teraz wdowa, swobodna! oho!

Powinniście wydać ją za mąż, aby się to raz skończyło...

— Anchen moja — odezwał się Paweł zawsze wesóło. Tej Gretty ani ja ani nikt nie wyda, póki ona sama wyjść nie zechce. Na dziś to i lepiej tak jak jest...

— Dla was lepiej! umhu! — mruknęła stara

złośliwem okiem rzucając na okrągłego Pawła — i zamilkla.

Poczula pewnie kogoś nadchodzącego, bo wzrok jej padł na drzwi, które właśnie otwierał mały czleczek, rodzaj karła garbatego, z twarzą dużą, ubranego pociesźnie w karmazynowy ku-brak z rękawami długimi i strzępkami przy nich, w czapce spiczastej z uszami na piersi zwieszonemi. Szedł on trzymając w ręku rogową latareczkę z ogarkiem, i opierając się na kij większym od siebie, zakończonym galką białą, ozdobionym kutasami. Na dużych jego nogach trzewiki z nosami wysoko zadartemi, miały u góry mosiężne skówki, które łańcuszki łączyły z cholewą. Karzeł-garbus poprzedzał niewiastę wchodzącą żywo. Była to synowica Pawła, tylko co wspomnianą Greta.

Na widok jej z zaszępioną twarzą cofnęła się zaraz stara Anchen w swe miejsce ciemne na ławce przy kominie, jakby z nią nie chciała nic mieć wspólnego. Paweł z twarzą uradowaną czekał na przybywającą.

Mieszczka była, mimo późnej dnia godziny strojną, ale ubior piękności jej nie przyczyniał, bo i bez niego śliczną by się w lada sukience wydała. Nie miała w sobie nic niemieckiego i można było posądzić, że przy częstych dawniej stosunkach Niemiec z Włochami, zabląkała się w jej żyły gorąca krew południa.

Miernego wzrostu, zręczna, form pełnych, biała,

nderzała naprzód Greta dwojgiem oczu, które patrzyły nakazująco, śmiało, wesolo, figlarnie, pańsko, a razem miały w sobie coś tęsknego i zagadkowego. Oczy te stałyby za nią całą, bo mówiły więcej niż male usta koralowe, z których ząbki perłowe przezierały, niż czoło jasne, niż twarzyczka życiem drgająca.

Na głowie jej piętrzyły się zbyt bujne, czarne, krucze włosy pozwijane, podzielone, pokręcone, posplatane a ciężące. Z ruchów, wejrzenia, uśmiechu bila odwaga zuchwała, wyzywająca — nie wierząca w to, aby kto się jej śmiał opierać.

Miała na sobie suknię ciemną, szytą i wyszywaną do koła, pas z torebką u boku, na ramionach płaszczyk, na głowie zaslone czarną. Ten ubior na pół wdowi był jej bardzo do twarzy. Karzeł-garbus, który z łaską panią swą poprzedzał, stanął jak herold idący przed królową i odezwał się głosem ochryłym.

— Greta!

Spełniwszy ten obowiązek urzędowy, zniżył łaskę, zmienił butną postawę i wprost poszedł spocząć na ławie, chociaż garb mu o ścianę oprzeć się nie dawał.

Greta przypatrywała się stryjowi stanąwszy opadał — czekała aby ją powitał. Paweł nie bez spojrzenia z ukosa na starą swą gospodynię, krok uczynił naprzód.

— Dobry wieczór pięknej Grecie! A co? Przynosisz mi tam co nowego? Mów!

— Właśnie ja przyszedłam do was z tem samem pytaniem — odpowiedziała śmiejąc się wdowa. — Zkądże ja mam wiedzieć co nowego?

— Łatwiej niż ja! — odparł Paweł. U ciebie przez cały dzień pełno ludzi ze wszystkich stron świata, a każdy ci się ze śmiertelnego grzechu wypowiada, gdy ty mu wyszczerzysz ząbki.

Anchen w kącie rzuciła się niecierpliwie i splunęła spozierając na swego pana.

Greta śmiała się z obojętnością prawie dziecinną.

— Dobylażeś co z Czechów — zapytał głos zniżając Paweł. — U nich, słyszę, niepokój na zamku? Co to jest? Domyślają się ludzie czegoś niedobrego?

Prawa ręka wielkorządcy Fryca, Mikosz, jest w twojej mocy, czy się przed tobą z czem nie wygadał?

Greta usta składała żartobliwie, dumnie, patrząc ciągle na Pawła.

— No? jak się wam zda? — szepnęła.

— Jam prosty człek — zawołał stryj, ramionami rn-zając — niczego się domyslać nie umiem, ale inni coś przewidują! Albert...

— O! wasz Albert — odparła Greta — gdyby tyle serca miał co rozumu?

Obejrzała się po izbie, i pochyliwszy do ucha

Pawłowi, a osłaniając rączką pu'chną i białą, aby się głos nie rozchodził, szepnęła mu:

— Młody król Wacław zabity w Ołomuńcu! zabity! Ale — cicho! Tają się z tem przed wami! Niewiadomo od kogo i kto nasadzony go zabił. —

Pawłowi ręce się złożyły rozpaczliwie. Stał blady.

— Możeli to być? — zawołał.

— Mikosz mi to zeznał podpojony trochę przezemnie — ale w tajemnicy wielkiej. Czechy się lękają, wojsko do Polski przeznaczone pewnie zawróci się z drogi. — Króla sobie nowego wybierać będą musieli.

Rzeźnik słowa rzec nie mógł, tak był tą wiadomością przybity...

Greta, jak gdyby do ważnej wiadomości którą przyniosła, żadnej nie przywiązywała wagi, zupełnie pozostała obojętną. W twarzy nie było śladu wzruszenia, ni smutku.

Paweł dumał, ona koniec rąbka gryzła zębami białymi, patrzała nań, na drzemiącego garbna swego, rozglądała się po izbie z chłodem zmudzonej istoty, szukającej jakiejś rozrywki.

Wreszcie Paweł dał jej znak, aby z nim poszła dalej ku oknom, na co Anchen z rosnącą coraz niecierpliwością patrzała, rzucając się i mruczając w swym kątku.

— Cóż teraz poczynać! — zawołał. — Ten zu-

chwały mały królik Loktek, gdy się dowie o śmierci Wacława w butę jeszcze urośnie.

— On! on już wprzód, niż wy pewnie o niej wiedział! — rzekła Greta.

— Nam więc nie nie pozostaje, tylko mu się poddać niezwłocznie — dodał rzeźnik. — Nie chcę dziś budzić Wójta Alberta z tą wieścią, choć należałoby — — jutro do dnia pospieszę z nią do niego.

Zadumał się głęboko Paweł.

— Nie trwóż że się — przerwała Greta. — Ten, czy kto inny potrzebować będzie mieszczan krakowskich, zyskacie na nim co zechcecie.

Ramiona się jej poruszyły, ziewnęła, popatrzyła na garbusa.

— Kurewurst! — zawołała doń głośno — nie spać! Na nogi! idziemy do domu! Wstawaj! Śpiochu jakiś, gdy nie jesz i nie pijesz, spałbyś tylko. —

— Najjaśniejsza pani — odparł Kurewurst śmiało — proszę o przebaczenie. Ja nawet jedząc i pijąc spałbym, gdyby było można. Niestety!

Królowa rozśmiała się. Kurewurst stał już łaskę ujawszy, którą w wyprężonej mocno ręce trzymał z dala od siebie — z powagą śmieszna. Paweł nawet spojrzawszy na garbusa nśmieczał się, choć miał o czem innem niewesołem do myślenia.

Greta zgrabnym ruchem rączki podniosła su-

kuie długą, włosy spadające na szyję otrząsnęła, ruchem główki pozdrowiła Pawła, i zabrała się do wyjścia.

— Choć twój dom tuż — odezwał się Paweł — niechby ci kto dla bezpieczeństwa towarzyszył, bodaj mój Hans z wielkim nożem.

Greta uśmiechnęła się pogardliwie, odsłoniła nieco plaszczyk i pokazała Pawłowi obok kaletki szytej perłami, piękny nóż w srebrnej oprawie, który wisiał u pasa.

— Nie boję się — rzekła, — mój Kurewurst za straż mi stanie. Trzy kroki mam do mojej bramy. — Dobranoc.

Skloniła się szukając Auchen oczyma, ale ta skryła się w swój kątek głębiej jeszcze, aby jej nie żegnać tak, jak nie witała. — I wyszła.

VI.

Na dzień się dopiero brało, a miasto zaledwie budzić zaczęło, gdy około dworu Biskupiego, zebrała się niezwykła w tej dnia porze gromada ludzi. Pojedynczo i gromadkami cisnęli się do wrót, wychodzili i wchodzili spiesźnie.

Można w nich było łatwo poznać mieszczan, po większej części niemców, kupców, bogatszych właścicieli kramów, ławek i gospód w mieście. Biegli żywo rozglądając się do koła, a nie bardzo chcąc być widzianemi.

W kościołach dzwoniono na jutrznię i razem dwa współzawodnicze dzwonki Ś. Franciszka i Dominika na wypródkę, zwiastowały poranną modłtwę. Po dworach światła pozapalane przededniem jeszcze, widać było przez błony i okien.

nice. Ranek chłodny był i chmurny, ludzie szli pootulani opończami, których kołnierze wysoko sterczały, kobiety w narzuconych na głowę fartuchach i chustach

Ruch w mieście, w początku mały, wzrastał z każdą chwilą, otwierały się wrota, dziewczęta biegły do studzien po wodę, psy wychodziły w ulice wietrząc co na nich w czasie niebytności ich się działo, i nogi przeciągając skurezone.

Miasto w tej szarej mgle poranka wcale różnie wyglądało niż w nocy. To co światło księżyca i mroki czyniły wielkiem i pięknem, występowało w nagiej rzeczywistości, szare, smętne, odrapane i pospolite. Na ścianach domostw widać było opadającą glinę i tynki, płoty świeciły dziurami i lataniną, wysokie dachy pokazywały szczyby, które w nich czas i ślota porobiły.

Kościły ze swemi rusztowaniami, które nocą piętrzyły się wspaniale, zmały teraz i widać było jak im wiele brakło do ukończenia.

Nie było ani jednego prawie, któryby już się mógł rozebrać z przystawionych doń ogromnych sztandarów i powiązanych do nich desek. Teraz robotników na nich nie było, czekały na przyszłą wiosnę...

Przy świetle dziennem śmieć i kałuże w ulicach, pierwsze wystąpiły, gdzieś po wymaszczone kamieniami, chrustem i deskami, pokazały się kładki pod domostwy i cała sieć

kolei, które wozy zostawiły po sobie. Po deskach na pniakach i słupkach opartych, przekradali się pod okapami przechodnie, gdzieśniedzie przeskakując zerwane łacie

Dworzec Biskupi nie wyglądał tak świetnie jak za owych błogosławionych czasów Prandoty lub Iwona. Powaga Pasterzy, ich znaczenie i władza, z różnych przyczyn ucierpiały wiele. Cios im zadał najdotkliwszy szalony Paweł z Przemankowa, wiechrzyciel, warchoł, człek swawolny, po którym ani Prokop choć mąż wielkiego rodu, powinowaty księżnej Gryfiny, ani Ślązak Muskata pasterz teraźniejszy, dźwignąć już Biskupiego dostojenstwa do dawnej świetności nie mogli.

Razem prawie ze wzmocnieniem władzy świeckiej koroną starą, osłabła moc Biskupów. Lecz nie byłaby dała się pożyć tak łatwo i szybko, gdyby nie ten człowiek co jej cały blask dawny odjął, Paweł, ów za którego grzechy następcy jego pokutować mieli.

Pod nim to rozprzęgło się duchowienstwo i zaczęto je lekceważyć. Widać już było, że w przyszłości nie biskup nad królem, ale król nad biskupami stać będzie. Kończyło się dla duchowienstwa panowanie zwierzchnie nad krajem a zaczynała walka o utrzymanie przy zachwianej powadze, którą ciągle walącą się posiłki z Watykanu podpieierać musiały.

Po Prokopie Rusinie, wybrano Ślązaka, obce-

go na wpół, niemającego tu ani rodu ani związków. Ten aby się utrzymać na stolicy, pokornie wszystkim stawiać się musiał, jednać sobie świeckich i duchownych. Dawni biskupi, Iwo, Prandota, Paweł, poprzednicy ich, rośli z ziemian tutejszych, ten był obcym. Sam na wpół Niemiec, miał tylko zwolenników w mieście, na zamku starał się ich pozyskać. Kraju znał mało.

Mąż był uczony, spokojny, milczący, w sobie zamknięty, nieco lękliwy, oglądający na wsze strony, ostrożny a mimo to czujący słabość swoją. Widział, że się chwiał, że mu tu nieswojo było. Człek był podówczas lat średnich, siwiejący już zawczasie, oblicza zadumanego, oczów białych, cery żółtej, chudy i zgięty. Losy dlań przeznaczone zdały się przeczuciem piętnować na jego twarzy, trwożliwej i tajemniczą okrytej zasłoną.

O szarej godzinie Biskup Muskata był właśnie tylko co mszę w kaplicy domowej odprawił, powracał przygarbiony do sypialni, w której około ksiąg najlepiej zabawiać się lubił, gdy kapelan jego Stanko, całując w rękę cicho mu szepnął, że Wójt Albert z mieszczanami czekał nań i o posłuchanie się dopraszał.

Po twarzy biskupa przemknął się wyraz trwogi, krokiem spieszniejszym posunął się naprzód do sypialni, później zawrócił żywo do izby, w której zwykł był gości przyjmować.

Tu też Wójt i mieszczenie czekali na niego, a że dzień się jeszcze jasny nie zrobił, okna w niej były małe, o mroku wchodzący Biskup więcej się mógł domyślać niż poznawać przybyłych...

Albert stał na przedzie, tego wszędzie po wzroście i postaci odróżnić było łatwo. Za nim blade i niespokojne twarze Rajców i kupców patrzyły... Szeptali coś między sobą.

Niezwykła ranna pora, w której przybywali, przecucie jakieś złowrogie, zawczasu trwogą się odbiły na obliczu Biskupa...

Witano cichemi ręki pocałowaniem.

— Ojcze, — odczwał się Wójt Albert — przychodzimy na radę! Straszne wieści nas doszły!

Oczy Muskaty błysły — spojrzał i spuścił je smutnie.

— Mówią, że młody król nasz zdradziecko został zabity. — Czesi na zamku już sobą trwożą, mówił Wójt. Co nam poczynać? Łoktek nie zaniedba korzystać z tego... Śle już nawet i upomina, aby mu zawczasu miasto zdano. Ratując się od klęski takby uczynić należało, ale Czechy.. Zemsta ich?!

Biskup trwożliwie się obejrzał do koła. Nie wiele osób go otaczało, lecz i tę gromadkę za zbyt liczną uważał, aby przy niej mógł się odezwać otwarcie. Zawahał się, wejrzał na Alberta, ręce złożył.

— Pomówiemy o tem — na osobności — szepnął. — Chodźcie ze mną.

Mieszczanie pozostali w izbie, a Wójt szedł do sypialni za Muskata.

Izba, do której go wprowadził, szczupłą była jak cela klasztorna, ksiąg pełna, stołem do połowy zajęta, skromna, niczem nie zdradzająca za-
możności. Łoże twarde stało w kątku z rozrzuconem jeszcze posłaniem, krzyżem w głowach, palmą i gromnicą.

Gdy się drzwi zamknęły, Biskup znowu ręce złamał i podniósł jak do modlitwy.

— Ciężkie Bóg na nas próby zsyla! — rzekł pobożnie. — Chyba on sam natchnie co czynić mamy.

— A kogóż on prędzej oświecić i przez czyje usta przemówić raczy niż wasze, Ojcie — odezwał się Wójt. — Przychodzimy do Was po mądrą radę. Miasto ratować potrzeba.

Biskup milczący stał patrząc w okno oczyma szklannemi, które łzami zachodziły.

— Książę Władysław — dodał Albert — już krąży, wypatruje, nasyla i nagli...

Muskata dał znak ręką.

— Nie przeto spieszyć trzeba — rzekł. — Zuchwały i mężny człek jest, bo tylekroć wygnany, za zgubionego uważany, na nowo się dobył, siły stworzył i ludzi zyskał! Tak — bać się go musimy — ale czy to pan, jakiego nam potrzeba?

Biskup coraz głos zniżał, jakby się lękał słów, które z własnych ust jego wychodziły. — Wyrywały mu się one jednak siłą jakąś wewnętrzną z piersi i powstrzymać ich nie mógł.

— Książę ten — dodał — kościoła i duchowieństwa nigdy nie szanował. Pamiętają ludzie co na Śląsku, w Poznaniu i po innych ziemiach żołnierze jego i on dokazywali. Kłatwą go kościelną trzeba się było pozbywać. — Ani Wam, ani nam nie jest miły ni pożądanym...

Tu zamilezał chwilę.

— Lecz jeżeli Czechom do oparcia mu się sił braknie — wtrącił Albert — my kogoś przecie za pana sobie obrać musimy. Ten dużo ziem już posiadał, a gdy Czechów nie stanie, resztę zagarnie.

Po krótkim milczeniu — Muskata do ucha prawie Wójtowi szeptać począł.

— Czemużbyście nie mieli się postarać o to aby Kraków oddać, któremu z Piastów Śląskich? Oni narodowi niemieckiemu więcej sprzyjają i siłę mają w niemieckich sprzymierzeńcach...

Albert głową potrząsnął.

— Nie dziś to nam księcia ze swej ręki prowadzić tu — rzekł — nie mamy o czem... Ziemianie będą przeciwni.

Muskata słuchał nie przekonany...

— Siłę byście znaleźli i wy, — rzekł — ro-

zumem — zrzecznością, wreszcie pieniędzmi wiele dokazać można.

Przerwał nagle — Wójt słuchał zimno — miał on też same myśli, ale widział niepodobieństwa przyprowadzenia ich do skutku.

— Książę Władysław mężny jest i waży się na wszystko.

— Ale sił on nie ma — odparł Biskup — tylko te, które mu słabość wasza daje... Wszak nie dawno rycerstwa mu brakło i chłopów a gmin uzbrajać musiał.

— Dziś mu ze szczęściem drubów przybyło — rzekł Wójt. — Wiemy z pewnością iż Wierzbęta Kasztelan, Wojewoda, pan ze Żmigroda, Sandomirsey oba, a i pod boki waszym Klemens Kanonik, Kanclerz, tajemnie mu są oddani.

Nie musiało to być nowiną dla Biskupa, bo Kanclerza głową potwierdził — i dodał.

— Co do Kasztelana i Wojewody — wątpliwa jeszcze.

— A! nie ma już wątpliwości! — odezwał się Wójt.

Zamilkli patrząc na siebie. Biskup widząc, że Albert na ostatnie czeka słowo — dorzucił.

— Nie spieszcie! Dopóki Czechy na zamku, nowego pana nie szukajcie. Korona Czeska nie zostanie bezpańską. Wybiorą prędko króla nowego panowie, lub której z pozostałych niewiast dadzą męża... z możnego domu... Naówczas

apomną się Czechy o polską koronę, a Wasz mały pójść znowu może na wygnanie.

Ostatnie wyrazy cichuteńko dokończył Biskup, ale z uczuciem, i widać było, że życzył tego co prorokował.

— Ten mały Łoktek — dodał żywiej — wiecie co on znaczy? Oto z nim jego polacy co mu się zasłużyli przyjdą tu i posiadą wszystko. Wiecie jak oni niemców kochają, jak im zazdroszczą! Złe czasy dla was nastaną. Książę, ten nigdy nie miał, wojna wpędziła go w dług, któż jeśli nie my i nie wy płacić je będziemy? Mieszczanstwo i dobra duchowne!

Westchnęli oba.

— Czekajcież! nie spieszcie — dodał Muskata. Czechy nad wami siedzą! Zawsze czas bramy otworzyć.. On na miasto i zamek razem ważyć się nie może.. to nad jego siłę.

Krótką chwilę trwała jeszcze urywana rozmowa. Biskup wypowiedziawszy co myślał, nie nalegał już, ochłódł, z rezygnacją patrząc na przyszłość. Albert pożegnał go niosąc swym towarzyszom radę, z którą mieszczenie na Ratusz poszli, rozdzieliwszy się w podwórzu, aby ich ztąd kupą idących nie widziano.

Dzień już był biały.

Muskata szedł zabierając się dopomnieć o posilek ranny, gdy zapukano. Zdziwił się i zaru-

mienił nieco Pasterz, widząc wchodzącego Kanclerza Klemensa, o którym co tylko mowa była.

Kanclerz postawą i twarzą stanowił zupełną sprzeczność z Muskata przygnębionym, ściśniętym, przestraszonym... W sile wieku, pięknego oblicza, z czołem wyniosłem, łagodnym wyrazem w ustach. Ks. Klemens śmiałym był i pewnym siebie. Nie nie krył w sobie, nie potrzebował nie tać, przynajmniej twarz jego otwarta, żadnego wysiłku do stłumienia myśli i uczuć nie okazywała.

Biskup przywitał go z uprzejmością tem większą, że nie była szczerą, chciał nawet okazać się wesółym, choć nagłe zjawienie się Kanclerza mocno go zaniepokoiło. Wskazał mu siedzenie poczynając rozmowę od pory wilgotnej i rzeczy obojętnych.

Ks. Klemens usiadł. Muskata domyślał się, że nie przyszedł bez celu, przeczuwał, że zagał sprawę Łoktka. — Nie rad był temu.

Zawołał na ochmistrza o winną polewkę. Czekał czy co nie przeszkodzi niemiłej rozmowie. Kanclerz nie spieszył z jej rozpoczęciem. Dopiero gdy służba odeszła — odezwał się nagle:

— Mówią o smutnym losie młodego króla Wacława... Pewnie Ojcu naszemu jest to wiadomem.

— Mówią.. tak.. powiadają—rzekł Muskata. Ja temu jednak nie wierzę. Są ludzie, którym

takie wieści na rękę. . Młody pan nie miał jeszcze czasu narazić się nikomu.

— Rozpustnym był — otwarcie odparł Klemens. Biskup pil polewkę oczu nie podnosząc.

— Jeżeli Czechy wyjść ztąd będą musiały — dodał Kanclerz — a pan nowy, nasz własny przyjdzie objąć panowanie nad nami — my się na to skarżyć nie będziemy.

— Dla nas — wtrącił Biskup sucho — wszelki Pan, który władzę Kościoła szanuje, ktobykolwiek był, równie dobry.

— Ale ziemie nasze wszystkie — dodał Kanclerz — oglądają się na Władysława.

Patrzył na Biskupa, który nie drgnął i szepnął obojętnie :

— Wszystko w ręku Boga ! wola Jego święta.

— Bóg też doń serca ludzkie nakłania — rzekł Klemens.

Biskup nie dając odpowiedzi, kubek postawił.

Milczeli chwilę, poczem w stół patrząc Muskata — obojętnym głosem mówił :

— Nie nasze to są sprawy. . ja do nich wcale mieszać się nie chcę, ani na żadną przechyłać stronę. Dali Bóg księciu Knjawskiemu szczęście, modlić się tak zań będziemy, jak za króla Wacława.

Kanclerz wstał z ławy, nabywszy przekonania, iż się tu nic więcej nie dowie. Znał oględność Pasterza, a gdy Muskata właśnie, jakby machinalnie księgę przed sobą leżącą roztworzył, oka-

znając, że radby się modlić lub czytać. — Ks. Klemens nisko się skłoniwszy, wyszedł.

Nie zatrzymując się we dworcu, okryty płaszczem, natychmiast podążył ku własnemu mieszkaniu, w blizkiej uliczce położonem.

Tu w progu czekał nań mężczyzna opończą osłoniiony, tak, że mu kołnierz twarz zakrywał, słusznego wzrostu, zbrojny. Poklonił się, weszli razem do domu, ks. Klemens do swej izby go wprowadził.

Był to znajomy nam Marcik Sula, wesolej twarzy, śmiejących się oczów. Pocałował księdza w rękę.

— Gonię za Miłością Waszą, dla języka — rzekl. — Czy niema co nowego dziś dla pana naszego? Co od Czechów słychać? rychłoli pójda precz?

Kancelarz się doń uśmiechnął.

— Cierpliwości — odparł — rzeczy dobrze się składają. Niemcy nam jeszcze tylko brózdzą, bo niepewni co im nowe panowanie przyniesie, wolą przy Czechach stać i do nich się tulać.

— Ale Czechy w tym spalonym zamku długo się trzymać nie będą mogli! — porywczo zawołał Marcik. — Jam się tam koło nich i kręcił i podpatrywał. Szopy zaczęli stawiać, wrota trochę ukrzepili, ale ich tam pono i nie wielki lik i — serce tracą. Gdyby ich dobrze nacisnąć, na pogorzelisku by nie wysiedzieli.

— Cierpliwości! — powtórzył Kanclerz. — Tym czasem nie macie nic lepszego do roboty, jak niemców znajomych namawiać, aby prędzej bramy miasta otworzyli.

— Szoldry te właśnie pierwszymi być nie chcą odezwać się Marcik. — Ja do nich na różne sposoby się cisnę i namawiam... ale ostrożni są.

— Czechy im przecie też nie bardzo do smaku?

— Ale naszego małego panka gorzej jeszcze się boją — ciągnął Marcik. — A może i słuszność mają... wiatr dobry, bo on ich też nie miłuje bardzo — swoich woli.

Tak rozmowa się skończyła, bo Kanclerz po pergaminy swe sięgnął, a Marcik wziął to za znak, aby precz szedł. Pożegnał się i wysunął.

Godzina była w owe czasy obiadowa, choć ranna, bo jadano zawczasu. Marcik nierad długo marł głodem, na koniu z Łowczej jadąc wytrząsłszy się — myślał gdzieby się pożywił.

Spojrzał w górę na niebo chmurne, chcąc lepiej poznać dnia porę. Ruch też miejski pomógł mu do oznaczenia jej.

Ciągnęły na targ ku rynkom wozy wieśniacze, szli piesi worki dźwigając na plecach — oskakiwali ich przekupnie i przekupki, nie dając się do nich docisnąć ludowi, rwąc i szarpiąc.

Okolo kramów i jatek, których okiennice już pootwierane, stały sparte na kołkach, gromadzili się ranni goście, dobijając o chleb świeżo pie-

czony, kołacze, mięso i żywność na deskach powystawianą.

Głosy przekupek wyglądających z przyciemnionych okien, rozlegały się szeroko, bo targ nie obchodził się bez słów grubych, przymówek, żartów i przekąsów.

Marcik, totując sobie drogę pomiędzy budami, wozami i przechodniami, dążył do dworn, na który patrząc już mu się zdala oczy śmiały. Stał on niedaleko domostwa pana Pawła z Brzega, a miał też od ulicy dwie ławki otwarte. Ale na te Marcik ani spojrział, choć w nich się mógł pożywić i prosto wszedłszy w podwórze, do sieni i izb od ogrodu, skierował się, w których rozmowę głośną i śmiechy słyszeć było.

Namarszczył się nieco stanąwszy u drzwi Suła, ale odwagi nabrawszy, popchnął je i wszedł rażno do środka.

W izbie stół był zastawiony, zanim dwóch biesiadników ucztowało, dalej u okna na ławeczce siedząca Greta strojna nśmiechała się do nich, a w kącie na stołku niskim czerwono przyodziany straż trzymał Kurewurst.

Było to mieszkanie wdowy. Właśnie tu obiadować skończono, a dwaj, spóźnieni jak Marcik goście, dzbankiem się pocieszali.

Rozmowa śniechami przerywana, toczyła się między gospodynią a niemi. Jeden z nich Czech, drugi Niemiec, oba młodzi, oba strojni, oba za-

zdrośnie na się patrzący, nie zbyt pono byli radzi trzeciemu, który wchodził, gdy i tak każdy się towarzysza życzył pozbyć. Gospodynię bawić się to zdawało.

Czech Mikosz bardzo był urodziwy i świetnie zbrojny a odziany. Znać było po nim, że się chciał niewiastom podobać, bo i suknię miał wyszywaną bogato i u zbroi łańcuszków siłą, więcej dla oka niż potrzeby. Płaszczyk kusy, który mu się z ramion zsuwał, szafirowy, malinowe miał podszycie, na palcach rycerz błyszczał pierścieniami grubemi, złote ndającami. Poczciwa twarz jego szeroka, duża, z wystającymi kośćmi policzkowymi, nie była piękną, ale młodą, świeżą i męską.

Niemiec też jego wieku z małą bródką jasną, smukłą, chudy, nie miał na sobie żelaza ni zbroi, nóż tylko u pasa. Rycersko nie wyglądał, lecz śmiało patrzył, jak człek, co w pewną siłę wierzy i nie lada jakim się czuje. Łańcuch, który miał na szyi, więcej może był wart, niż całe uzbrojenie Czecha i świecące na nim blaszki. Oprócz zwierzechniego futerka, reszta odzieży na nim ze szczerego była jedwabiu.

Czech i niemiec spierali się z sobą i przycinali sobie wzajem, gdy wszedł Marcik, który choć postawny i przystojny, z żadnym z nich mierzyć się nie mógł. Uboższym i pospolitszym od nich się wydawał.

Nie mniej jednak Greta wchodzącemu się uśmiechała, a oba siedzący za stołem, zobaczywszy go namarszczyli się. Sula miał ten obyczaj, że czy go, dobrze, czy źle przyjmowano, twarz zachowywał wypogodzoną, jasną — nie wiele dbając o ludzi.

Głową ledwie skłoniwszy dwom ichnościom u stołu, podszedł śmiało do Greta, która tego dnia tak strojną i piękną była, jak zawsze. Na niej nigdy ani znużenia, ani smutku, ni uczucia żadnego nie znać tak było, aby jej pogodne, dziwnie chłodne, promieniejące pięknością oblicze — mogło się zmienić i zachmurzyć. Zdawała się bawić i zajmować każdą rzeczą, nie biorąc nic do serca... Ludzie musieli jej być obojętni, chociaż wyżywała ich, bawiła się nimi, zagadywała każdego, nie gardziła nikim i lubiła pomnażać liczbę swych niewolników.

Każdemu z nich na chwilę jakąś zdawać się mogło, że mu więcej niż innym sprzyjała, lecz jeden chyba Kurewurst, który nieodstępnie przy niej siedział i na wszystko patrzył a słuchał wszystkiego, mógł wiedzieć najlepiej, jak ludzi lekceważyła. Po wyjściu każdego wyśmiewała się i nic było dla niej lepszego od drugich — nikogo.

Czech przychodził tu prawie codziennie, niemiec Wurm, imieniem Balzer, nieustannie się jej z ożenieniem napraszał. — Bywało i innych wielu.

Marcik, który ją znał jeszcze dziewczyną, a bardzo sobie upodobał — nie gorzej był widzianym od innych ale i nie lepiej.

Stary, okągły rzeźnik stryj Paweł, i pierwszy jego czeladnik Hans, i niezliczona młodzież rozmilowaną była we wdowie. Po śmierci, zabitego w jakiejś zwadzie jej męża, który był zachwaly i porywczy, nalegała rodzina, aby sobie drugiego wybrała. Greta ruszyła na to ramionami i rzadko nawet odpowiadać raczyła.

Byli by ją zmusili może iść za mąż, gdyby nie stryj Paweł, który miłując dziewczę, choć mu wiek i pokrewieństwo myśleć o niej nie dozwalało — rad był dłużej z praw opiekuna korzystać.

Ona też robiąc z nim co chciała, nie spieszyła szukać sobie pana. Majątek wszelki w dworzyszczach, placach, domach i pieniądzach miała znaczny, wyprawę bogatą, co tem więcej przwabiało ludzi — ale Greta nad wszystko przenieśliła swobodę.

Używała jej zaś tak, że choć wcale od ludzi nie stroniła, nikt na nią złego słowa powiedzieć nie mógł. Kurewurst pół-sługi, pół-blazna, jak za swą królową chodził za nią wszędzie.

Gdy Marcika ujrzeli siedzący za stołem, zajęci żywą rozmową, przerwali ją w sposób znaczący; on zaś zbliżywszy się do Grety, siadł przy niej

na ławie, i po cichu śmiejąc się, poufale rozmawiać z nią zaczął.

Czechowi i niemcowi był zarówno niemiłym gościem. Oba oni dosiadywali tu, chcąc jeden drugiego przetrwać i zostać sami na sam z wdową, bo Kurewurst siedzący w kącie za nie się nie liczył — tym czasem Marcik szyki im i rachubę pomieszał. Wiedzieli, że go się nie zbęda tak łatwo, zwłaszcza, że najpóźniej przybył. Pochmurniały im twarze. Mikosz musiał dla służby na zamek, niemiec zaś z polakiem razem siedzieć nie lubił. Stało się tedy, że oba z jedną myślą wstali i żegnać się poczęli. Wdowa ich nie zatrzymywała. Kurewurst wstał i zabawne robiąc miny, pozdrawiał ich długimi rękami machając.

Marcik patrząc na drzwi za niemi, gdy wychodzili taką twarz ułożył, że Greta się uśmiechnęła z niego — rad bardzo się ich pozbywał.

Lecz radość ta krótko trwała, gdyż ledwie zwróciwszy się do gospodyni, zwykłą z nią związał rozmowę, gdy już w progu posłyszał kroki i Paweł z Brzegu się okazał. Zasepiony był i spotniały mimo chłodu. Naprzód więc okrągłą i świecącą twarz ocierać zaczął, potem skłoniwszy się Grecie, siadł co rychłej.

— A co nowego? — zapytał Sula Rajcy.

— Codzień ani świeżego mięsa, ani nowin mieć nie można, — odezwał się Paweł. — Nowego

nie ma nic. Wiemy tylko, że Czechy się krzepko trzymać myślą, a słyhać, że z Pragi Paweł z Paulsztynu jedzie tu na wielkorządy.

Mówią o nim, że człowiek być ma rozumny, a nie tak jak Boskowicz gwałtowny i srogi.

— No! no! Czechy! Czechy!! — rozśmiał się Marcik lekceważąco. — Pókiż tych Czechów będzie? Jam myślał, że bodaj pan Wierzbietta, albo pan ze Żmigroda zamek obejmie.

Spojrzał na Pawła okazującego mu rękami, że do tego bardzo jeszcze było daleko.

Greta słuchała z uwagą, spoglądając to na stryja, to na Marcika.

— E! — rzekła żartobliwie — do wiosny się to wszystko przecie skończy, z bocianami Polacy przylecą.

— Jabyśm wołał, — zaśmiał się Marcik, — żeby sobie Czechy z gęśmi teraz odleciały...

Paweł milczał, patrzył na synowicę, która w rączkach chustkę kręciła, a bystre mi oczyma strzelając, obu ich trzymała na uwiezi.

— Niech no śliczna! Greta — ozwał się Marcik, — powie panu Pawłowi, że nasz mały książę wart, aby mu się tak nie opierano... Mieszczanom nagrodzi sowicie, gdy mu powolność okażą. Drażnić znowu go i jątrzyć nie radz lby m nikomu.

Greta w istocie zdawała się brać stronę Marcika, ząbki białe pokazała i rzekła.

— Tych małych człowieczków zawsze się naj-

więcej bać potrzeba. Niewiedzieć co to jest, ale Pan Bóg im siły i rozumu więcej niż dużym daje. Z siłą i rozumem to bodaj jak z piwem, póki miarka go jest, mocne, — wody podławszy zrobi się półtorej lub dwie, ale cienkusz.

Paweł dziwował się i cieszył porównaniu i rozumowi.

— Różnie bywa — dodał — są i olbrzymy silne.

— No — a ja karłów się gorzej boję — mówiła Greta. — Ten Łoktek to czarodziej.. Gdy mu się już udało, nie mając ani ludzi, ni pieniędzy tyle kraju zdobyć — dostanie się i do Krakowa.

Rzeźnik spojrzał na synowicę, czy istotnie myślała tak, jak mówiła, czy sobie z Marcika żarty stroiła. Wdówka powtórzyła raz jeszcze swoje. Marcik zbliżył mu się do ucha i spytał.

— Cóż więc? co?

— A, nic. — To jest, com mówił, — odpowiedział Paweł. — Pierwsi być nie chcemy.

Pochylił się do ucha Suły:

— Tak starszyzna uradziła.

Suła mu nawzajem szepnął do ucha.

— Starszyźnie wiecie kto to doradził z wielkiej mądrości swej? Ks. Biskup Muskata. Ho! ho, znamy go, i wiemy z kim trzyma. Ale choć mi trę ma na głowie niech się dobrze zawaruje, aby mu ona nie spadła i żeby jak Paweł nie siedział

w więzieniu. Z naszym panem w kości grać nie zdrowo!

Paweł chciał Biskupa uniewinniać, ale Marcik go z lekka po ramieniu uderzył.

— Chodziliście przecie o świcie do niego z Albertem na radę!...

Rzeźnik spuścił głowę, Greta odgadując o co szło, uśmiechała się.

Suła parę kroków odstąpił nadrabiając miną, choć widzieć było, że koniec rozmowy kwaśno przyjął. Siadł bliżej Greta i rzekł żartobliwie.

— Choć mi wszystko na przekór się składa — tyle mojego, że choć wam w oczy popatrzę. Szkoda tylko, że nie długo, bo mi ztąd precz iść przyjdzie...

Rękami okazał, że próżne były, nie nie zyskał. Ona mu znak dała, aby się nadziei nie zrzekał.

W kącie siedzący Kurewurst, który, gdy nie spał, zwykł się był pilno swej pani przypatrywać, gdy z mężczyznami obcować, — aby odkryć niedocieczoną tajemnicę — patrzył, krzywił się i mówił sobie.

— Któż ją wie? Prosty drab, gołe żołniersko, a może ona go woli niż innych.

Ale Kurewurstowi po kilka razy na dzień się to przywidywało

VII.

Główne siły księcia Władysława Łoktciem zwanego, pod Sandomierzem naówczas zgromadzone były. Na zamku jako tako po pożodze i spustoszeniu polepionym i odbudowanym, mieścił się sam książę, dwór jego i starszyzna.

W nowo także odbudowanym i budującym się w części miasteczku, na pogorzeliskach tatarskich, — w ogrodach i szałasach, w namiotach i ziemiankach mieściła się wielce zbierana drużyna tego, który się zwał już jedynym, prawdziwym dziedzicem polskiej korony...

Naówczas wojska nawet najmożniejszych królów i mocarzów nie miały tej, co dziś jednolitości, porządku i szyku — ale wśród ówczesnych wojsk i dwórów, Łokietkowe różniły się od wszystkich innych, wcale osobliwym ustrojem i obliczem...

Ludzie, uzbrojenie, twarze, rynsztunki zdradzały najosobliwszą mieszaninę, najrozmaitszego pochodzenia tej siły wojskowej. Oddział Amadajowy, którego tu część stała tylko, składał się z samych Węgrów i najemnych dzikich Kumanów. Lud to był jako zaciężny, najniespokojniejszy, a że go płaca nie dochodziła, plądrujący niemiłosiernie wsie, dwory, plebanje i klasztory. Ani języka ich zrozumieć, ani ich grozą było można powstrzymać. Nie lękali się nikogo, zuchwali byli, a że książę pierwsze im winien był zwycięstwa, nosili się dumnie. Ogromni ludzie, ogorzali, czarno zarośli, głośno krzyżący. rwący się o ładaco do miecza — chcieli tu panami być, choć już garść tylko się znajdowała, bo resztę na biskupie dobra wysłał Loktek do Biecha, powoli tych sprzymierzeńców niewygodnych, codzień o żołądek mu suszących głowę, starając się pozbywać.

Kumani z Węgrami nie sami tu dziwnie wyglądali i dziko. Reszta pułków także nie lepszą była.

Od granicy Knjaw lud różny w twarzach też jakby jakieś obce plemię zdradzał. Rycerstwa prawdziwego, ze starych ziemian złożonego a przednio zbrojnego, mało było i to tylko przy osobie księcia — inne oddziały połatane były ludźmi prostymi, gminem po woli czy poniewoli do służby zaciągniętym.

Byli i tacy co szli opierając się, kijmi pędzeni, a teraz w wojaczce zasmakowali, zobaczyw-

szy, że im wiele wolno było, że drugim lukać i grozić mogli bezkarnie. Zbroi nowej, porządnej trudno było dopatrzeć, tylko u tych, co na zamku stali, reszta wychodziła z domów z łada czem, a zbroiła się dopiero łupem na pobojuwisku. Nie równo i nie jednako byli opatrzeni.

Z toporem jeden, z cepem żelaznym drugi, z łukiem ogromnym prostym, inny z małym a misternym, z nożami różnej miary, z mieczami wszelakiego kształtu... Lepszych kuszników co ciężkie bełty puszczały z kusz misternych, ledwie kilkadziesiąt naliczyć było można. Włócznie też pstro malowane, czerwone, białe, ciężkie i lekkie, nie u wszystkich się znalazły. Taksamo tarcze począwszy od starych, ciężkich, niezgrabnych z łubu a skóry, aż do kutych z nosami żelaznymi i nabijanych gwoździemi mosiężnymi — leżały na kupach niby łom na pobojuwisku.

Obóz przedstawiał dość nieporządkny ale rozległy tabor, na kilka części podzielony, mało się różniące od siebie. Pułków jednego zawołania, wedle starego obyczaju, Nałęczów, Toporów, Śreniawów prawie nie było, garstki ich straż trzymały przy panu. Więc i ładu wielkiego w tem mrowisku trudno było utrzymać... Obóz wrzał i kipiał ciągle, a dowódcy, sędziowie obozowi, czeladź co miała porządku pilnować, nieustannie latała z miejsca na miejsce, bojujących rozbrajając, najczęściej kijmi. Darli się z sobą ciurowie za

lada co, bo ludzie byli rozpuszczeni wojną, którym wszystko wolno było; a czuli się potrzebni.

Pomimo to wesoło było wśród tego tłumu, teraz używającego spoczynku i wczasu. Gędźbiarze, grajki, przekupnie, włóczęgi płci obojej, żebracy, szynkarze siedzieli i snuli się pośród namiotów z szarego płótna, z wojłoków, wśród szałasów i szatr ukleconych z gałęzi, bud plecionych z chru-stu, dołów pokrytych drzewem i darnią, ognisk otoczonych kamieniami, wozów i koni powiązanych do kołów...

Gdzieniedzie górą nad daszkami namiotów, stał pochylony drąg z chorągwią, z płachtą, ze znakiem jakimś, pod który gromadzili się ci, co do jednej kupy należeli.

A nie łatwo było wśród tego natłoku, własnego często wyszukać legowiska. Krzyżowały się i wiły ścieżyny na wsze strony, płacząc z sobą, tak, że nie jeden się po nich kroczyć obłąkał. Hukano też, nawoływano, trąbiono jak w lesie.

Niektóre oddziały dla zwalczania się deski sobie wiszące na kołach postawiały, w które kijmi bębiono, gdy ludzi trzeba było gromadzić.

Śpiewy, brzękania, klótnie, śmiechy i narzekania razem zmieszane stanowiły ów chór ob-zowy, do którego rzenie koni, szczekanie i wycie psów, i jęki pobitych się łączyły. Bójki były tu rzeczą tak powszednią, a zabójstwa tak częstemi, że gdy trupa niesiono grześć, mało się kto od

kości lub kufla odwrócił nań spojrzeć. Ci co przy kottach siedzieli, widząc odarte ciało na noszach, bo sukni do grobu nie darowano nikomu, nawet piosnek nie zaprzestawali.

Wśród tego zamięszania i nieładu, gdzieniegdzie lepszy namiot dowódcy, ludzie dostatniej odziani, wetknięte włócznie, wozy kute, domysłać się każały ziemianina. Chociaż z ziemian co naprzód do Łoktka przystało mężne było, porywcze, ale w większej części nie dostatnie.

Moźniejsi czekali jeszcze, teraz dopiero zwolna się garnać zaczynając.

Nie mógł książę dostarczać żywności ludziom swoim, ratowano się więc od głodu i pragnienia obyczajem ówczesnym. Codzień wychodziły od działy picowników, brały co napadły nie pytając czyje. Jesienią naprzód na dziesięciny się rzucano i na dobrze nabite plebanów brogi a stodoły klasztorne.

Oprócz tego wykradało się dużo ludzi na ochotnika w świat. Tych po całych dniach potem wracały kupki, wioząc wory, wiązki, pomordowane ptastwo i zwierzęta domowe. Pożądanych tych gości witano wesoło, bo się od nich za mały grosz pożywić było można.

Przekupniów nie wielu do obozu się ważyło, bo tu pieniędzy byłoomal a zuchwałości wiele...

Nie jednego odarto, który na zamku nie znalazł

potem sprawiedliwości i wypełniło go, bo winnych wskazać nie umiał.

Bliżej ku zamkowi stały coraz potężniejsze siły, większa część ziemian, których już wodzowie do Łoktka przystali i wiedli za sobą ludzi własnego zawołania. Tu też trochę ciszej było, gdy od miasta i z błonia zdala nawet dochodziło warczenie ciągle jakby woda wrzała.

Pod zamkiem ludzi, konie widać było pańskie, u namiotów nie jedno pachole czyszczące zbroję połyskliwą, trzepiące szaty, krzątające się około kociolka... Tu odartej gawiedzi obu płci mniej się kręciło, bo ją wysmagiwano precz, obawiając się złodziejstwa. W dworach i chatach miejskich wielu, siedziało przedniejsze rycerstwo, bo mieszczanie mieć je woleli dla opieki od zuchwalstwa ciżby obozowej.

Tu też znaki stały na tyczkach, aby lada kto się nie wparł nieproszony.

Na samym zamku siedział książę, ale zamczysko po zniszczeniu zaledwie jako tako było polatane. Murów kawały starych, oczerniałe od ognia stały samopas — wśród nich na pręde pobudowano szopy i stajania. Wał i tyny były poprawne, wrota nowe i mocne, wewnątrz więcej rumowisk niż budowli.

Wielką też wspałością pan się ten nie otaczał, dwór i czeladź dla oka ludzkiego czysto ale z prosta i niewykwintnie było przyodziane

Łoktek o świetność nie dbał, na zaciągi wszystkołożył. Brał gdzie mógł, dla siebie wiele nie potrzebując, na sprawę swą ważąc ostatek... Miał tylko to, co mu przyjaciele przynosili. Ten koni kilka, ów siadzenie, inny coś sukna i szat, tamten broni, mało który grosza ofiarował, a szło im teraz o to, aby przyszły pan nie zbyt się ubogo na świat okazał.

Skarbnik tam nie wiele miał do czynienia, bo ledwie gdzie chwycono trochę pieniędzy, wnet niemi Węgrom, Kumanom i innym gęby trzeba było zatykać. Miał już naowczas książę Władysław Kanclerza, Podkomorzych, Kapelana, Kormowników, dwór, jakiego potrzebował, lecz występować nie było z czem, bo w tem wszystkim zbieraninę widać było.

Przyszła wielkość tego, co się dobijał korony, widomą jeszcze nie była — lecz kto wszedł do izby, w której małe książątko siedziało na ławie u stołu, z gruba od siedzenia wyciosanego — popatrzwszy i posłuchawszy niepozornego człeka, czuł, że w nim siła mieszkała wielka. Niczem on nie oślepiął, nie chwalił się, a szedł z taką wiarą w zwycięstwo dobrej sprawy, że i innym o nim wątpić nie dopuszczał.

Było to nad wieczór, Łoktek dowódców i urzędników swych zgromadził do siebie.

W pośród nich stojąc drobny człek, odziany w zszarzany kaftan, z włosami rozrzuconemi,

z brodą pomietą, z oczyma bystremi — panował przecie... Gdy się odezwał głos jego, milkli wszyscy, oczy otaczających nie schodziły z niego. Z całego zgromadzenia tego, on najmniej na pozór był widnym, a do niego, jak do ogniska zbiegało się, co tu żyło.

Spojrzawszy na wchodzącego, posłyszawszy słowo, wnet zgadywał o co chodziło — odprowiał krótko i stanowczo. Rąbał jak siekierą tem co rzekł, sporu nie znosił. Gdy brwi ściągnął a stanęły mu dwa fałdy do góry między niemi — nie było mu się co sprzeciwiać.

Stał właśnie pomiędzy Wierzbietą a Wojciechem ze Żmigroda, u boku mając Klemensa Kancelrza, tylko co przybyłego z Krakowa z sędzią Smilem — i naradzał się z niemi, gdy głośno wołając, wpadł nagle drzwi rozwarłszy, poruszony mocno, mąż średnich lat, w sukni duchownej.

Nim zrozumiano z czem szedł, Łoktek się do rozumiewał, że skargę niósł. Gniew, żal, rozdrażnienie, buchały z niego. Ledwie się skłoniwszy, ręce do góry podniósł i krzyczeć począł.

— Sodoma i Gomorha! Miłościwy Książę! Karę niebios na siebie ściągniecie! Tak samo tu sobie wasi poczynają, jak niegdy w Poznaniu! Komorę mi odbito, chlewy wypróżniono, służebne pokrzywdzono.. konie ze stajni uprowadzono.. Gwałt — rabunek własności kościelnej!

Zadyszany księżyna zakaślał się.

Książę stał spokojny, dając mu się wylać z gniewem — księdza, który go tak obojętnym ujrzał, zimna krew Łoktka jeszcze mocniej poruszyła.

— Najazd Tatarski! — zawolał — dzicz! poganie! Świątynie pańskie i sługi nie poszanowane.

— Uspokój się, mój ojcze — rzekł Łoktek. — Niema na to rady! Wojna ma swe prawa, żołnierz mój mrze z głodu.. Nagrodzę wszystko, dziś wy jak jak ja cierpieć musicie...

Książdz podniósł głos i już miał wołać — Anathema! gdy Kanclerz Klemens z powagą wystąpił przeciwko niemu.

— Ojcze kochany — rzekł. — Książę gdyby pragnął, nie może nic... Ściąga się lud, jeść musi, dostarczyć mu chleba trudno. Wojna nie potrwa, krzywdy się nagrodzą.

— Nietykalna święta własność kościelna, na którą się sprosne ręce rzucają — przerwał Pleban.

— Kościołowi straty się jego powrócą — rzekł książę spokojnie. — Bylebyśmy się Czechów pozbyli, kraj oczyścili i ład przywrócili.

— Czech nas tak nie łupił! — dodał Klecha.

Ks. Klemens prawie gwałtem go na bok odwiódłszy, ułagodzić usiłował i uspokoić, gdy przez drzwi które otworem zostały, ujrzał Łoktek twarz jakąś — drgnął i zapomniawszy o Plebanie, pośpieszył do progu.

Tu stał zbłocony cały, ledwie z konia zsiadłszy

Marcik. Zdala do swojego pana a on do niego miłościwie się uśmiechał. Książę na innych nie zważając, wyszedł z nim do bocznej izdebki, w której ubogie leżało posłanie i trochę oręża stało w kącie.

— Z czemżeś ty przygnął? — zapytał — pewno dobrego nie przynosisz mi nic. Oto ks. Kanclerz także z Krakowa przybył ze Smilem i nic — nic, tylko jakieś niepewne obietniki.

Cóż mieszczenie?

— Mieszczenie! Miłościwy Książę — żwawo począł Marcik — wszystko prawie Niemcy, Niemiec zaś by najlepszy był, chytry jak lis.. Na dwóch stolkach siedziećby chcieli.

W tem przerwał. — Z mieszczany by jeszcze do ładu się doszło może — ale Biskup bruździ a oni go słuchają.

Czechy też ustępować coś nie myślą...

Spojrzał na księcia, który wcale się nie zasepił — słuchał spokojnie.

— Nie miałeś z czem wracać! — rzekł. — Trzeba ci było siedzieć i mieszczan ujmować... Zyskać mi choć kilku.. byle było komu otworzyć bramy, reszta musiałaby się poddać. Na to aby wrota zdali, nie wielu trzeba.

Marcik po głowie palcami przeszedł i pokłonił się.

— Miłościwy panie — odparł — jednać bym rad, ale czem? Rozumu ja na to nie mam, kupić

ich nie było czem... Na mój język za twarda sprawa. Wolałbym trochę ludzi i żelaza — dali-byśmy prędzej radę — kto wie!

Łoktek poweselał.

— Czekaj ino, ja tam sam pójde — odpowiedział — gdy pora będzie po temu. Myślę, że niebawem.

Urwał i odwrócił się.

— Nie baw tu — rzekł — tyś mi tam potrzebny we środku, w mieście. Obiecuj im co chcesz, strasz szturmem a rób tak, aby się bez niego obeszło. Tyś tu mi nie konieczny, a tam pomocny, bo się z mieszczany i mieszczkami kumas. Nie baw że a wracaj.

— Gdyby nie Biskup! — wyrwało się Marcikowi. — Za Biecz się podobno sierdzi, że mu go Węgry plądrują...

— Do Biskupa Kanclerza poślę — odparł książę. — Ty wytehnij tylko i powracaj do miasta. Gdy przybędziesz po kilku dniach niebytności, a pytać będą, mów, że wiesz iż ciągnę całą siłą na Kraków.

Łoktek skończywszy, podał rękę do pocałowania Marcikowi, dobył z kalety na stole garść groszy, wcisnął mu je i wyszedł spiesźnie.

Suła sprawiwszy się tak żwawo, miał czas dawnych swych towarzyszków odwiedzić w obozie, i przypomnieć sobie życie, za którem tęsknił.

Wyszedł zaraz w podwórcę między ludzi. Tu go ze wszech stron witano okrzykami

— Marcik — Sula! Znowuś ty tu! A zkadże cię tu przyniosło?

Piąte przez dziesiąte odpowiadał gość zaglądając wszędzie, rczpytując nawzajem, rozglądając się pilno kto był z panem, kto przybył, kto się nawrócił, bo widział, że siły urosły.

Jak tylko zachwiała się potęga czeska, nieoglądano się już na nikogo, tylko na malego pana.

Korona Przemysławowa i Wacława jemu należała. Ze wszystkich ziem, coraz gęściej nadjeżdżało rycerstwo — choć niektórzy jeszcze nie bardzo widzianemi być chcieli. Ludzi przybyło.

Gdy z zamku od góry spojrzał Marcik na szeroko rozciągnięte obozy, a w myśli sobie liczyć począł, ile tam być mogło głów — serca mu przyrastało.

Tym czasem w izbie książęcej trwały narady, coraz nowi zgłaszali się sprzymierzeńcy.

Wśród nich jednym z najznacześniejszych był a najpożądanejszym Wincenty z Szamotuł, możny ziemianin z Wielkiej Polski, którego się tu nikt nie spodziewał, a wszyscy witali z pociechą wielką. Mąż był w sile wieku, znany z cnót swych rycerskich, niepomierne żądny czci, dostojęństw i mienia. Tego Wierzbęta przywiózł księciu, polecając jako człowieka, który mógł mu Wielką Polskę pozyskać.

Na pierwsze wejrzenie widać w nim było dumnego panka, krwi gorącej. Nigdy on jeszcze Łoktka nie widział wprzód i wszedłszy zdumiał się wielce niepozornej postaci. Sam on wybrał się do obozu prawie po książęcemu, aby okazać jak możliwym był. Wśród tego szarego dworu wyglądał dziwnie w szatach barwnych i błyszczących.

Wszyscy przypatrywali mu się, gdy w kilku słowach ofiarował usługi swe księciu.

— Rad jestem wam tutaj — odezwał się książę — a wdzięczniejszy jeszcze będę, gdy tam sprawę moją popierać zechcecie, gdzie ja się wielu przyjaciół nie spodziewam.. Pamiętają mi tam przeszłe czasy.. za którem odpokutował...

Wincenty mało co mógł odpowiedzieć i przyrzekać nie śmiał wiele, bo wiedział, że w Poznaniu rychlej Ślęzak znajdzie sojuszników, niż Łoktek, którego się duchowieństwo obawiało.

Księżciu dosyć było krótkiej chwili rozmowy i wejrzenia, którem sięgał w głąb każdego łąco — aby w panu z Szamotuł poznać człowieka, którego nadzieją władzy i dostojęństwa mógł sobie zjednać.

Wziął go na osobność, posadził obok siebie i czcąc a poufalość mu okazując — w końcu mu szepnął.

— Jednajcie mi ludzi u siebie. Jeżeli tę zie-

mię z pomocą waszą zdobędę, a jest mi ona dla całości korony mej potrzebna, i w niej gniazdo nasze... możecie się spodziewać wdzięczności. Wielkorządów nie dam nikomu tylko wam...

Czy myślał w istocie Łoktek tak wspaniale nagrodzić przybysza? — on sam tylko mógł wiedzieć — ale słowem tem ujął go sobie.

Wielkopolski potrzeba mu było. Korona Przemysława leżała w Gnieźnie, a Gniezno w tej ziemi, którą Wincenty miał dlań pozyskać.

Godzin parę przesiedzieli na rozmowie z nim, aż do wieczery, do której zasiedli w wielkiej izbie. Uczta była nie pańska a żołnierska, na drewnianych misach z kubkami glinianemi. Srebro tam nie spotkać było, z czego się sam książę wyśmiewał pierwszy, żarty strojąc z ubóstwa swojego.

Podczaszy ubodnięty dobył jedyną czarkę pozłocistą jaka była, a książę w rękę ją podniósł do góry, aby wszyscy widzieli...

— Tak mnie moje żołnierstwo objadło, — rzekł śmiejąc się, iż mu Mieczyn ledwie jedną tę odkradł jakimś cudem.. Ale w Krakowie złotników siła!

— A w Olkuszu srebro znajdziemy! — dodał weselo Wierzbęta.

— Jak ja, tak i żona moja — dodał Łoktek — nawykła do prostych szat i ubożego sprzętu

w Radziejowie, nie będziemy więc dla siebie wiele potrzebowali od nikogo.

Sędzia Smił ozwał się z pokłonem, że ziemianie chętnie dla swego pana po kubku się złożą.

— Dla mnie tego nie potrzeba — odparł Łoktek, — byłem miał czem ludzi opłacić i stało na zaciągi nowe, bo do oczyszczenia wiele kątów mamy, i do odzyskania dosyć, — a i Czechy po zamkach jeszcze siedzą.

— Brandeburgi z Sasami na granicy, — dorzucił ktoś z boku.

— Na tych Krzyżacy pomogą, — rzekł Żegota, — bo oni się z sobą nie bardzo godzą.

— No — a na Krzyżaków kto? — przerwał Wierzbęta — bo i ci nam straszni. Na Pomorze się cisną gwałtem, chcąc nam je odebrać.

— Na Boga! nie damy im go! — zawołał książe. — Najdroższy to nam kraj, przez który wrota do nas ze świata i na świat wiodą. —

— Nie damy! — powtarzali inni.

Ciągnęła się tak przy wieczerzy mowa o wszystkim. Wincenty z Szamotuł badał oczyma tego pana, któremu przybył usługi swe ofiarować — on też spoglądał nań i można było posądzać ich, że się wzajem lękali siebie, choć czuli się sobie potrzebni.

Gdy się szerzej rozgadano o wojnie, o prowadzeniu jej, o nie przyjaciółach, jak przeciw któremu występować i walczyć z nim przystało,

Loktek się dopiero ożywił i twarz mu się wyjaśniła.

Blżej Krzyżaków i Sasów siedzący pan z Szamotuł, odważył się wyrzec, że wojsko polskie wiele potrzebowało jeszcze, nimby się z niemi mierzyć mogło.

— A mierzyliśmy się przecie z niegorszemi od nich Czechami, — rzekł książę — i biliśmy ich cale nie zgorzej.

Wy, coście ludzi moich nie widzieli, w boju nie znacie ich. Niepozorna to gawiedź, ale głosu mojego słucha i jak drapieżny zwierz pada na wroga.

Wincenty się uśmiechał.

— Nie ma lepszych żołnierzy, — dodał Loktek — jak głodni i odarci. Pięknej zbroi nie jednemu żal i dostatku gdy go ma. Moi wszystko zdobyć się spodziewają, a do stracenia nie mają nic.

Tak do nocy zabawiano się opowiadaniem różnych przygód wojennych, poczem każdy szedł, gdzie mógł kąt znaleźć dla spoczynku, a pan z Szamotuł do osobnego namiotu, który sobie rozbić kazał, bo już innego niejsca dlań nie było.

Kancelarz Klemens sam z księciem pozostał.

— Winszujecie mi, ojeze — odezwał się Loktek. . . znaczna ryba weszła w sieć moją. Cieszę się tym wielkopolaninem.

— Byle nie zawiódł nadzici waszych — rzekł kancelarz. Ja go nie znam, ludzie o nim mówią

różnie. — Można jest, rodu znacznego, ale wiele też zapagnie i drogo się płacić każe.

Książę zdanie to potwierdził głową, nie okazując by się lękał.

— Ja się w nim dumy nienasyconej boję — dodał książę — bo ludziom pysznym, a władzy chciwym nigdy dosyć.

Ks. Klemens wracać miał do Krakowa, żądał więc poleceń i rozkazów, na co Łoktek krótko mu odpowiedział.

— Kraków wziąć muszę. Czyńcie co można, aby mi go dali bez krwi rozlewu. . Dziś o to najpierwsza troska. . Nie wiele on wart sam, ale w mieście Niemcy są zamożni, jam grosza żadny, na Wawelu moc siedzi niewidzialna, która mi da inne ziemie, gdy go posiędę.

Nazajutrz rano w orszaku swym ujrzał ks. kanclerz wesoło jadącego Marcika, który pokłoniwszy mu się oświadczył, że z rozkazu pańskiego w jedną dążąc stronę, za straż bezpieczeństwa służyć mu gotów.

VIII.

Rynek krakowski we dnie nawet powszednie, w pewnych godzinach bardzo ożywiony bywał — nazajutrz po przybyciu Marcika do miasta przed południem trudno się tu było przecisnąć, trudniej rozmówić wśród zgiełku i wrzawy.

Na Ratusz ciągnęli panowie Rajcy z dwoma Wójtami, którzy Wójta Wielkiego, dziedzicznego pana zastępowali; do Dyngusza szli Lawnicy i ci co sprawy do nich mieli; z towarami wieziono się do wielkiej i małej wagi miejskiej tuż stojącej; nie mało ludu gromadziło się w piwnicy Ratuszowej, gdzie najlepsze piwo Świdnickie szynkowano. — Ale najwięcej pono spieszyło do ławek, sklepów, straganów, jatek i kramów, które dwoma długimi rzędami, jakby małą ulicę two-

rząc, przez Rynek szły ku Ratuszowi i dotykały doń prawie.

Tu się skupiał cały wielki ówczesny ruch handlowy, który z jednej strony sięgał aż do Flandrii, do Włoch, z drugiej do dalekiego Wschodu.

Im prostsze były wyroby kraju, tem większa obcych potrzeba. Kupcy zyskiwali najwięcej na sprzedaży tu właśnie, gdzie to co przywieźli osobliwem było i pożądanem.

Niepozorne to były te kramy, co się jeden przy drugim ciągnąc szeregiem, stały długą ulicą. Większa część ich ciemna była i ciasna. Oznaczała je na zewnątrz ledwie wywieszona na drągu sztuka jaka sukna flamskiego, jedwabiu wschodniego, pas barwisty lub jakieś naczynie. Ale w głębi tych bud napchanych towarem, mieściły się najdroższe rzeczy.

Wszystkiego tu dostać było można, czego dostarczało Byzancjum przez Sycylją i Wenecją, począwszy od najdroższej purpury, sametów, (axamitów), aż do pospolitej fryzy wełnianej; — od najdroższych futer aż do najcieńszego płótna i rąbków. Można tu było do kościoła na ornat i do domu na oponę kupić tkaniny, i pierścien dla narzeczonej i myśliwską trąbkę z kości słoniowej i buty ozdobne i chleba kawałek.

Wszystko to, szczególnież cenny towar, nie pokazywało się na jaw jak dzisiaj, nie ogłaszało,

aby nie obudzić łakomstwa i nie narazić na zdzierstwo. Chowano co najdroższe rzeczy po skrytkach, ale usługni pośrednicy wiedzieli dokąd kupującego prowadzić.

Sklepów z suknam i tkaninami niemieckimi i hollenderskimi było pono najwięcej w tym rzedzie, ale razem i włoskich jedwabów wiele i tkanin z koziej wełny na włosiennice przeznaczonych, które na gołym ciele noszono, i w które się pobożni zaopatrywali.

W innych ławkach siedzieli złotnicy i ci, co cynowe i miedziane sprzedawali naczynia, paciorki weneckie, pierścienie, pasy, kolce i t. p.

Targ o każdą rzecz naówczas inaczej się odbywał, kupowano na długie trwanie, z rozmysłem, spierano się długo, rozpatrywano bacznie, o cenę umawiano uparcie, tak, że w uliczce dzielącej sklepy, zwawe często odbywały się sceny, gdy kupujący już odchodził, a czeladź sklepowa niemal gwałtem nazad za rękawy do siebie ciągnęła.

Gwar nie dawał się tu dobrze rozsluchać, bo ówczesne przekupki już były tak wymowne i krzykliwe, jak dzisiejsze, a swoboda mowy większa była. Dowcipowano drwiąc sobie gwoili słuchającej gawiedzi.

Mała ta, ciasna uliczka, którą często ogromne wozy kupieckie zawałyły, bo dla bezpieczeństwa zajeżdżały tu nim towar złożyły albo go się

hurtem pozbyły — malowniczą była jak bazyry wschodu.

Najdziwaczniejsze stroje ocierały się tu o siebie, niemieckie, włoskie, flandryjskie, perskie, byzantyjskie, rycerskie i pospolite, wręcz duchowne, bo i duchowieństwo, okrom zakonnego, żebraczego, do ławek iść potrzebowało.

Niewiast też jeśli nie dla kupna, to dla ciekawości przewijało się tu mnóstwo, a młodzieży za nimi.

Sąsiedztwo piwnicy Ratuszowej, z której wychodzili podehmieleni, Ratusza, w którym Rajcy zasiadali, Sądu, Wagi, kilku Łaźni w rynku i kilku browarów, czyniło uliczkę tę sukienników a raczej Gospodę kupiecką — niezmiernie ludną przez dzień cały.

Dziwacznie wyglądały te budy zawierające tyle skarbów w sobie — bo niektóre z nich już były murowane, inne z drzewa, inne z tarcie i ladajakiego sklecone materjału. W większej ich części wchód do środka dla zuchwalego gminu był zaparty. Szerokie okno, którego okiennica jak stół się na zewnątrz otwierała, opierając na podstawionych palikach — służyło kupcowi do wykładania towaru przed nabywcą. Takież okiennice otwierały się i po domach, gdzie cokolwiek sprzedawano.

Oprócz kupców krakowskich w tych oknach

dostrzedz było można i greków i włochów, a nadewszystko wielu niemieckich gości.

I tu gorąca krew a obyczaj szorstki wywoływał częste zajścia, łajania, nawet bójki, które pacholcowie ratuszowi spieszyli rozejmować.

W czasie upałów, rozpinano tu płótna dla cienia, niekiedy służyły one obwarowując od pomniejszej słoty. Przezorniejsi rozwieszonymi skórami drogą kupię ochraniali.

Piękna Greta właśnie była weszła w tę uliczkę ze swym Kurewurstem, którego całe miasto znało. Rozumie się, iż wdówka, gdy się raczyła na świat wychylić, starała się swą pięknością pochwalić, a stroiła jak najwytworniej. Oczy też wszystkich szczególniej rycerskiego stanu ludzi, ciekawie się ku niej zwracały, nie wiedząc co sądzić o tem zjawisku. Z bogactwa stroju, piękności twarzy, wypieszczonego lica i rączek, można ją było uważać za wielką panią, ze śmiałości z jaką pieszo puszczała się w tłum ten, za mieszczkę z nim oswojoną, z wejrzeń zuchwałych i wyzywających, za jakąś dwuznaczną istotę. Ci co ją znali, uśmiechali się zdala ponijając, inni stawali albo nawet szli za nią, aby się lepiej pięknej kobiecie przypatrzyć. Szła zwolna jak swobodna pani, która się spieszyć nie potrzebuje, pragnie się rozerwać, a nie jest zbytnio niczego ciekawą.

Kupcy z za okiennic witali ją słówkami,

a że wiedzieli jak lubiła stroje i fraszki różne, i jak bogatą była — kusili ją różnemi pięknemi rzeczami.

— Niech no piękna Greta raczy zajrzeć do mnie, — odzywał się jeden z siwą brodą, figlarnemi oczyma i zbyt rumianą twarzą ostro odbijającą się od siwizny — mam świeżo z Wincdży przywiezione łańcuszki, cieninchne tak, że się ich nitka przez ucho igliczki przeciągnąć daje... i guzy do sukienki złote jakby z nici tkane...

Greta się uśmiechała pomijając kusiciela i ręką mu dając znać — na później.

Drugi w ręku podnosił i wyciągał śliczne leciuche rendle i sigelaty, pokazując jak się faldowały misternie, lśniły i mienily w świetle.

— Paniusin — wołał trzeci — dla waszej piękności gotowem dać darmo! Proszę zatrzymajcie się, nigdzie niedostaniecie takich jedwabów, jak u mnie, ni takiego złotogłówn...

Pomijała to wszystko Greta, nawet sklepy futer, któremi okładana odzież bardzo jej była miłą — miała jej podostatkiem...

Z niektórymi kupcami, dobrymi znajomemi jej i Pawła mieniała po słów kilka wesołych...

Sklepowa czeladź gonila za nią łakomemi oczyma, umiała bowiem tak iść, że niby nie dbając i niemyśląc o tem, całą swą piękność okazywała w świetle najkorzystniejszym.

I nóżka obuta starannie i ręka biała osadzona pierścieniami, i czoło z pod białej zasłony ukazujące się po trosze i włosów sploty i kibić pasem ujęta z pod płaszczyka widna, i ruchy wdzięczne a młode, zachwycaly patrzących. Szła dając im się cieszyć sobą.

W miarę, jak się uliczką posuwała w głąb ku ratuszowi, coraz większa liczba ciekawych sunęła za nią. Kurewurst szedł z komiczną powagą, laską swą przed panią ciżbę rozpędzając.

Pierwszy, który się ośmielił wprost zbliżyć do niej i pójść za nią, był Balcer Wurm. Właśnie jego sklep jedwabów mijała, gdy zdawszy go na pomocnika, wyszedł witając Gretę. — Chciał ją też do siebie zaprosić. —

— Jeśli nie d'la czego innego, piękna Greto — rzekł do niej, — wstąpić do mnie warto, aby zobaczyć samt cudowny, który wczoraj dopiero przywieziono, którego nie widział nikt jeszcze, nikt nie ma. Nic miększego, miłszego w dotknięciu, piękniejszego dla oka nie ma na świecie, a składa się tak na sukni, że ją do królewskiego płaszcza podobną czyni.

— Drogie takie materje nie dla biednej jak ja wdowy, — odparła szydersko Greta. — Chyba bym kupiła na ofiarę do kościoła Panny Maryi za duszę nieboszczyka męża mego.. Właśnie mam na myśli tę fundację...

Żal mi wielce Arnolda mego! — dodała z wej-
rzeniem bystrem...

— O następcę nie będzie trudno! — westchnął
Balcer.

— O dziesięciu — odpowiedziała trochę się za-
trzymując Greta, — ale nie o takiego jak on był.

— Umarli zawsze bywają najlepsi, to wiado-
mo — ozwał się z trochę urazy Wurm.

W chwili, gdy się może weselsza zawiązać
miała pogadanka — pędem do ratusza, rozbija-
jąc ludzi, nadbiegł Czech Mikosz, któremu ktoś
musiał podszeptać o Grecie. Spi-szył ją tu po-
witać i innym do zalecania się przeskadzać.

Idący też od ratusza okrągły stryj Pawe
z Brzega, zoczywszy synowicę, mrugając na nią
z dala, przysunął się chcąc pocieszyć choć spoj-
rzeniem na nią. bo szedł bardzo posępny i skło-
potany.

Lecz — zobaczywszy swą ulubioną, już się
uśmiechał po troszę i policzki ocierał.

Zaczynał się jakby dwór około Greta groma-
dzić, gdyż i Marcik znalazł się koło niej wyszedł-
szy z którejś budki, gdzie coś musiał targować.
Ze wszystkich co ją otaczali, ściskając się do
koła on, jeśli nie z postawy, bo ta była piękną,
to z powierzchowności wyglądał najmniej dosta-
tnio i możnie.

Greta pomimo to i jemu się dobrotliwie uśmiech-

neła, tak łaskawą była dla wszystkich. Spytała go nawet kędy tak długo bywał, że go niewidziała.

— Na łowym jeździł! — odparł Marcik figlarnie.

— No — a przywieźliście z nich jaką zwierzynę? — spytała dwuznacznie.

Marcik więcej może odpowiedział oczyma, a usta rzucił obojętnie.

— Łowcowi się chwalić nie godzi, bo mu nie wierzą, alem ja zawsze rad temu co mam!

— Rad? — powtórzyła Greta.

Marcik potwierdził to uśmiechem. Drudzy chmurno nań patrzyli zazdroszcząc z wdową rozmowy.

— Dalekoście jeździli? — pytała.

— Powiślem w górę, — rzekł Marcik głos zniżając — tam zwierza dosyć.

— Jeżeliście w naszym miejskim Chwacimiechu polowali, — przerwał mu Paweł półżartem — strzeżcie się, aby was tam straż miejska nie pochwyciła. My krom księcia nikomu łowów nie dopuszczamy.

— Choćbym i w Chwacimiechu był, — rzekł Marcik żartując — kawał go też do panien Zwierzynieckich należy — a panny same nie myśliwe, nie powiedzą mi nie.

— Hm! — bąknął ktoś z boku — coś tak śmiało o klasztornych lasach i ziemiach mówicie, jak byście po nich z Łoktkiem plądrowali!

Marcik się rozśmiał dobrodusznie.

— Nie mówcież bo o nim, abyście wilka z lasu nie wywołali — rzekł. — Nuż Łoktek do Chwacimiecha zawita i Krakowowi będzie strach.

— Czego? ho! ho. Łoktkowych żołnierzy bosych — przerwał Czech Mikosz dumnie. — Obrońniemy od nich łatwo miasto, bo to gawiedź, na którą włóczni nawet nie trzeba, kija dosyć.

Zapłonął Marcik jak wiśnia, gniew mu na twarzy zadrgał, ale na Grekę spojrzawszy pohamował się.

— Ja tam nie wiem, — przebaknął — jacy są żołnierze małego księcia, ale przecież oni was silnych powyganiali z Wiślicy i z Lelowa i z innych gródków! Nim miasto bronić będziecie myśleć lepiej o sobie.

— O nas się wy nie bójcie, — zamruczał Mikosz, rzeźko poprawiając hełmika i ręką bijąc po mieczu. Gdyby tego co jest za mało było, z Pragi przyciągną posiłki.

Marcik nic na to nie odpowiadając, rzucił wejrzenie na Czecha bystre i po chwili dopiero dodał:

— Nim co do czego przyjdzie, nie chcieli byście ze mną do piwnicy, napić się piwa czy miodu. Sam czas potemu.

Dziwne to zaproszenie, najbardziej zdumiało Grekę, która popatrzała znacząco na mówiącego a potem na Czecha. Nie chciało mu się odchodzić od wdowy, a do kubka słabość miał wielką.

Inni stali milezący.

Marcik wskazywał w stronę piwnicy. Wahał się jeszcze Mikosz, gdy Greta jakby nie chciała im stać na zawadzie, na Pawła stryja skinąwszy, uszła z nim prędko ciasną uliczką, która między dwoma kramami w głąb wiodła.

Nie zwróciła się już nawet do Czecha, który urażony tem lekceważeniem, odwrócił się do Marcika tak uprzejmie go zapraszającego i zbliżywszy się doń, poszedł z nim razem.

Przed piwnicą Ratuszową o niskich drzwiach, więcej dla zwyczaju niż z potrzeby powiewała zielona wiecha sośniny na drażku z muru wystającym. Koło drzwi stało dużo ludzi. Z piwnicy samej gwar dochodził. Ścisk tu był znaczny około stolów, po bokach i wpośrodku.

Około beczek za przegrodą z balas, dwie szynkarki, szynkarz i dziewczka otyła z zakasanemi rękawami, z podpiętym fartuchem, ledwie radę sobie dać mogli, aby gościom starczyć — rozdając im spore gliniane kubki.

Wrzawa była wielka.

Marcik jednak musiał tu mieć pewne zachowanie, bo i miejsce w rogu jednego stoła dla Czecha znalazł i skinąwszy na dziewczynę, kubków się rychło doprosił. Czech w boki się podparłszy, po piwnicy się bacznie rozglądał.

— Nie dziwujcie się, żem was nie wiele znając zaprosił — odezwał się przysuwając doń

Marcik. — Jam też dawniej służywał wojskowo. Choć mi za złe mieć możecie, że ja się około Greta kręcę, pono tam z nas jeden drugiemu nie wiele zaszkodzi. Niewiasta jest co się równie uprzejmie do wszystkich uśmiecha, ale ich lekceważy.

Posłyszawszy o Grecie, Mikosz poweselał — pocziwa jego szeroka, rumiana twarz, wypogodziła się.

— Ano.. tak ci jest! — rzekł. — Ale człowiek choć wie, że tam nic nie zyszcze, na ten lep się brać daje.

— Prawda—przerwał rozochacając się Marcik. Tej czarownicy nikt się oprzeć nie umie.

— Wiedźma straszna jest — śmiał się Czech wdychając razem. — Jabym się z nią żenił chętnie, ale niemcy jej nikomu obcemu nie dadzą, aby jej bogactwa z rąk im się nie wysliznęły.

— Nie bardzoby ona komu powodować się dała — odezwał się Marcik — gdyby w niej serce się odezwało.. ale, niewiasta jak lód albo kamień.

— Macie słusność — potwierdził Mikosz pufając się coraz, bo mu rozmowa o pięknej wdowie bardzo miłą była. — No! ktoby to powiedział! Uprzejma jest, śmiejąc się, patrzy, drugim serce wyrywa z piersi — i jak kot igra z niem. Przyjdzie też na nią kiedyś godzina...

— Ja ją dawniej od was znam — mówił Marcik, widocznie się Czechowi przypochlebiając

i o dzban mrugnawszy, który przyniesiono. — Taką samą była, dziewczyną będąc — śmiałą, wesolą, i nprzejmą...

— No.. i wybrała sobie za kogo pójść?

— Ona! — zawołał Marcik. — Jako żywo! Ojciec naglił, aby szła obawiając się ją zostawić samą, a był chorowity. Wzięła pierwszego z brzegu, gdy nalegano. Ten Arnold na zabój się w niej milował, ale prędko w zwadzie zginął.

— Plakała slyszyć po nim bardzo?

— Juści też choćby dla ludzi plakać musiała — ciągnął dalej Marcik. — Teraz gdy go niestało, wspomina, żałuje, a.. wiem że za żywota gdyby parobek rozkazy jej spełniać musiał, a małżeńskie od niej czułości doprosić się nie mógł — rychlej połajania lub szturchańca.

Czech słuchał z zajęciem i podziwieniem.

Wkupił mu się Marcik w łaski mówiąc o wdowie. Reszty, może napój dobry a mocny dokonał, tak, że w godzinę dwaj współzawodnicy byli z sobą na tej stopie, na jakiej zręczny Sula chciał być z Czechem. Zachęcał go do picia, bawił, pochlebiał, w dumę go wbijał.

Na ostatek tak wypadło z rozmowy, iż Marcik mu się oświadczył z przełajni, iż mu próżniaczy chleb obrzydł, a radby służbę rycerską znalazł sobie, byle u dobrego pana.

— Choć Ulryk Boskowiec — rzekł Czech — którego, chwała Bogu ztąd wzięto, nie wierzył

polakom, terazniejszy Paweł z Paulsztynu, myślę, że inny będzie. Ludzi nam trzeba, moglibyście i na zamku służbę dostać.

— Czemuż nie! czemu nie? radbym jej był — odezwał się Suła — na zamku mi służyć najwygodniej by było. I zdałbym się wam..

Czech pokręcił głową.

— No! służba teraz — rzekł — może nam przypaść ciężka.

— Tem ci lepiej — wtrącił Marcik. — Co żołnierzowi warto siedzieć pod szopą i ziewać? Gdzie gorąco, tam się on najlepiej żywi.

— Gorąco może być! — powtórzył Mikosz — gorąco!!

— A no!.. niechajby! — rozśmiał się ochocho Suła.

— Co myślicie? — dodał poufnie po chwili, tym niemcom mieszczanom jabym nie wiele wierzył. Już oni na króla Wacława za to sarkali i kwasili się, że na Okolu nowe miasto zrobił i mury stanęły około Ś. Franciszka do zamku, a od Ś. Andrzeja do Stradomskiej Bramy. — Tego nowego miasta nie zasiedlić niemcami, a oni by radzi tu być sami.

Jak im ten polski mały książę zaśpiewa, że Okola nie będzie budował — a obieca im co jeszcze więcej — gotowi mu poddać miasto. No! a jakby miasto wzięto — na zamku trzymać się będzie ciężko.

Mikosz westchnął tylko dając do zrozumienia, że toż samo myślał — kiwnęli zgodnie głowami.

— I ja tym mieszczanom nie bardzo wierzę — zamruczał. — To ludzie, którym ich kaleta miłsza, niż pan, choćby najlepszy był. Im każdy równy, byle go tanio kupili a sprzedali drogo.

— No.. tak — dodał Marcik — a właśnie Loktka, który, jak wiadomo grosza niema, dostaną łatwo...

Suła stawał się coraz serdeczniejszym dla Czecha, którego już miał tak jak za swego.

— Od czasu jak się o śmierci młodego króla dowiedzieli — szepnął — nosami bardzo kręcą.

Mikosz zapił tę smutną uwagę.

— Nie wierzę ja im — rzekł — choć nasz nowy W. Rządca inaczej trzyma. Wójt Albert go uspokoił.

— Wójt Albert — zawołał Suła — a to najchytrzejszy lis między niemi.

— Znacie go? — spytał Mikosz.

— Jam tu prawie z dziecka w Krakowie — mówił Marcik — Albert na mieście jakby książę udzielny siedzi. Co on chce to robi. Wiedzą o tem wszyscy, że i on i brat jego co w Miechowcie opactwo trzyma, do Ślązaków ciągną. Ślązaków między mieszczanami moc wielka. Rozpatrzcie się ilu tu ich jest z Brzega, z Lignicy, z Opola, z Wrocławia, ze Świdnicy — Wrocław

a Kraków trzymają się za ręce. Gotowi albo Ślązaka albo i Małego sprowadzić — —

Ulrych ich sobie naraził

— Prawda — potwierdził Czech. — z Boskowicza nikt nie był rad. Ostro ich trzymał i ziemian nie szanował. Dla nas on też nie był dobry... Paweł będzie inny...

— Daj Boże — dodał Marcik — ale czasu potrzeba, aż się na nim poznają i zawierzą mu.

Wygadawszy się tak od serca, wstali.

Czech pociągnął na zamek, Marcik jakby nie lepszego do czynienia nie miał, przeprowadzał go.

Szli ulicami zwolna, nieznacznie, a im się ku Wawelowi więcej zbliżali, tem Marcik żywiej zagadywał Czecha.. i bawił go lepiej.

W głównej bramie począł mu mówić o Grecie, wiedząc, że na tę wędkę Czecha złapie najpewniej. — Wśliznął się tak z nim na zamek, na który bez tego towarzysza dostać by mu się nie było łatwo, bo właśnie pod ten czas pilniej go od miasta strzeżono.

Wszedłszy w podwórcę śmiejąc się, gawędząc, wdzięcząc do Mikosza, Suła miał dobry czas rozpatrywać się do koła.

Zamek po uiedawnej pogorzełi, która i kościół dotknęła, choć wieże miał ołowiem kryte i wszystkie drewniane gmachy, których było najwięcej, zniszczyła — nie miał jeszcze czasu się odbudować.

Boskowiec myślał z Pragi spowadziwszy murarzy, mocny gród i piękne gmachy zakładać na kształt Hradszyna. — Ledwie się do tego przygotowywać poczęto. Leżały stosy kamieni nazwożonych, drzewa belki olbrzymie, ale dotąd stały tylko tymczasowe dworki i budy, a załoga musiała się jako tako dusić w onych izbicach, w których dawniej mieszczanie mienie swe przechowywali, bo tejedne ocalały. Za Leszka Czarnego niemcy je popoprawiali zamku obraniając. Teraz i ludzie w nich przytulek mieli.

Dwór jeden okazańiejszy zajmował W. Rządca sam, a inni dowódcy jako tako się mieścili po budach z tarcie i chrustu a gliny pol pionych.

Oczyma tak strzelając dokola Marcik, obliczył latwo po pewnych znakach, że załoga nie wielka i nie bardzo silna być musiała. Wprawdzie na walach ostrokoły już nowe stały i do obrony przygotowane, ale garścią nie wielką tak rozległej przestrzeni bronić było trudno.

Wojsko też, które tak długo leżało sposobności nie mając wojowania, wiążąc w mieście łatwe przyjaźnie, zgnuśniało. Chodzili żołnierze bez zbroi bezpieczni, nie zdając się myśleć, aby im co grozić mogło.

Marcik unikając innej rozmowy, bawil Mikośza opowiadaniem o Grecie, rozprawiał długo, aby chodząc z nim po walach, lepiej się mógł rozpatrzyć. Potrzeba mu było wiedzieć na wszelki

wypadek, z której strony łatwiejszy szturm a słabsza się zdała obrona.

W końcu napomknął znowu o służbie, którą rad by był przyjąć, na co Czech odpowiedział mu dobroduszenie.

— Zobaczemy, gdy się lepiej z nowym W. Rządcą poznamy. Ja wam rad pomogę, ale więcej nad sotnika trudno będzie się umieścić.

I zapytał go, czy miał dobrą zbroję.

— Dobrą i nie jedną — odpowiedział Marcik. W potrzebie zdam się i do kuszy, bo z nią, z bełtem i kołowrotkiem umiem sobie poradzić. Pewnie też balistarzy siła nie macie, a przyjdzie się bronić, to ci będą najpotrzebniejsi.

— My ich teraz nad pięciu, czy sześciu nie naliczym — rzekł Mikosz, a z tych dwu nie na wiele się zdało.

Chwilę jeszcze pogawędziwszy, Marcik się nisko pokłonił i z dobrą miną nazad pociągnął ku wrotom, bo Czech poszedł do budy swej odpocząć po piwie.

Szedł, a w duszy mu się robiło coraz weselej, bo widział jawnie, iż Czechy się z tem co mieli, długo teraz bronić nie mogli — jeśliby posiłki nie nadeszły. Pobudził zarazem niewiarę u mieszczan i obawę zdrady. Rad więc mógł być z siebie.

Spuściwszy się ku miastu i znalazłszy znowu w rynku, w którym ranne życie znacznie się już

zmniejszyło, ciżba przerzedziła, Marcik wprost skierował się do domu Grety przy Rzeźniczej ulicy, gdy po drodze od ratnisha wracającego spotkał Pawła z Brzegu, który szedł w tę samą stronę.

— Cóżecie to Czecha tak zapragnęli ugłaskać i wielką z nim przyjaźń zawarli? — zapytał Rzeźnik.

— Dobry chłop jest — odparł Sula. — Nagadaliśmy się z nim do syta, naśmiali i na zamek go odprowadziłem...

— Byłeś na zamku? — rzekł stając Paweł.

— A juści! byłem — zaśmiał się Marcik.

— I cóżecie tam widzieli?

— Wszystko okrom zamku, bo tam żadnego niema od czasu ostatniego pożaru. Bronić też gródka będzie trudno — poczał swobodnie Marcik, tak jakby się mimowoli wygadywał.

Czechów garść mała, wały szeroko rozpostarte na inną osadę patrzą. Oni też to dobrze rozumieją. — Jeżeli im posiłki nie nadejdą, oddadzą Wawel bez oporu.. na pierwsze wezwanie.

— Myślicie? — spytał zadumany Paweł.

— Ale to rzecz najpewniejsza — potwierdził Marcik. — Nowy wielkorządzca nie tak twardy jak Boskowicz, szaleć nie będzie. Wy sobie z miastem poczniecie jak chcecie — to wasza rzecz, a że oni za was szyi nadstawiać nie będą — byle im wolne wyjście z bronią i sakwami dozwolono — to rzecz pewna!!

Paweł sposepniał.

— Łoktek rad będzie temu.. — dodał Sula. — Zresztą spalone zamczysko nie wiele znaczy dziś, a miasto gdy się nie podda wczas, samo — tem lepiej...

— Jakto? — spytał mieszczanin.

— Prosta rzecz — kończył śmiejąc się Marcik. Z miasta upartego będzie się czem pożywić. Z Czechów dziesięciu kop nie namłóci tyle, co z waszego półkopka.

Gdy żołnierze wrota złamią — nie będzie siły coby ich strzymała.. Pójdą szaleć i obłowią się.

Paweł z Brzega zafrasował się bardzo.

— Teraz już tak nam prawiecie! — zawołał.

— Zawszem wam mówił prawdę — odrzekł Marcik — i teraz jej nie taję. Wy niechcecie być pierwsi z miastem — zgoda — zamek się podda pierwszy, ale z wami mówić nie będzie czasu, ani ochoty...

Szli dalej razem; Rzeźnik dumał i sapał. Patrzył dokąd towarzysz jego zdąży, co Marcik porozumiałwszy, choć mu się do Grety chciało, zmienił postanowienie i rzekł.

— Pójdę po konia, któregom w szopie u Szeluty zostawił, bo mi do domu pilno.

— Do Grety dziś nie przyjdziecie? — spytał Paweł.

— A po co? — rozśmiał się niby dobrodusznie Sula — nie wskóram tam już nic. Greta

tak dobrze Wurma, Mikosza, jak mnie przyjmuje, a żadnemu z nas z tego nie...

— To prawda! — począł wesoło Paweł. — Mnie też z niej nie, bo to synowica moja — ale na nią choćby popatrzeć, tak jakby człek co dobrego zjadł!!

— Albo się napił! — dorzucił Suła..

— Wiecie co — dodał Paweł biorąc go za suknię. — Idźcie do Grety, posiedźcie u niej — ja tym czasem pójdę rozmówię się z ludźmi.

Miasta na swawolę żołnierstwa narażać się nie godzi.

Marcik z początku się wahał wrzekomo i ociągał — potem ręką dał znak i poszedł do Grety.

Siedziała wdowa znowu u okna, trzymając w ręku rodzaj cytry, na której strunach pobrażkiwała po cichu. Za stołem podparty, najupartszy z jej zalotników, słuchał Wurm i dumiał. W kącie na stronie nieodstępny Kurewurst drzemał. Nie było nikogo więcej.

Na wchodzącego Marcika spojrzała uważnie Greta i spytała go nieco szydersko, rzucając cytrę na ławę.

— No — bardzoście się z Mikoszem pokumali?

— W kumy niema jak dzban — zawołał Marcik — a to chłopisko, zaprawdę serca dobrego, i choć jabym go chwalić nie rad, ale sprawiedliwym być muszę.. Dobry brat!

Wurm się skrzywił.

— Chwalić każdego można — ozwał się z przekonaniem — począwszy od cieleńcego mięsa, które też dobre jest... Mikosz na żołnierza tak dobry, jak ciele na pieczone — ale.. więcej.

— On też czem innem nie myśli być — zawołał Marcik, — tak jako i ja. My oba ludzie proszą, od siekiery, niemieckich minelidrów śpiewać nie umiemy, ani się nauczymy... — za to kord nasz bardzo bywa wymowny!

Wurm pogardliwą miną przyjął tę odprawę — spojrzał na Marcika, który blisko Greta miejsce zajął, śmiało się do niej przysuwając — zżymnął się, rzucił do wstawania, żał mu się zrobiło i został rozpartszy się na stole.

— Gdy wchodził przerwaliście piosenkę — odezwał się Marcik do Greta, — czym to ja słuchać jej nie wart?

— Nie warcicie — odparła wdowa. — Na naszych minesingerów wymyślacie, a ja ich lubię.

— Szkoda, że ja do nich nie chodziłem do szkoły, możebym i ja u was większe miał łaski — westchnął Sula.

Greta popatrzała nań śmiało.

— Ja was i tak lubię dość — odezwała się — a gdybym lubiła więcej, na co by się to wam zdało?

— Jakto? na co? — wykrzyknął Sula.

— Znacie mnie przecież — zimno mówiła dalej Greta — jestem bałamutna. Każdego dnia ktoś

inny mi lepszy. Wy macie dni swoje, ma je Wurm (wskazała nań) nawet Czech, któregoście i wy umiłowali — a oprócz was kto wie ilu będzie w łaskach! Tak mi najlepiej, niewolnicą niczyją być nie chcę.

— A królową? — podchwycił Wurm.

— Królowe u was królnją póki wesela, potem je w niewolę obracacie, — odezwała się Greta. Ja to wiem, więc ani królową, ani niewolnicą nie chcę być, wolę panią sobie i wdową!!

Wurm się rzucił niecierpliwie. Zapomniał, że Marcik ich słucha i ciągnął dalej.

— Tak wam przecie zostać nie dozwolą — rzekł żywo — prędzej później kogoś sobie wybrać musicie.

— No — to później i jak najpóźniej! — zaśmiała się Greta. Lice jej zarumieniło się.

— Wybiorę może — dodała — ale wątpię bym was wzięła.

Wurm z gniewu ręką o stół uderzył, a Marcik głośno się śmiać zaczął. Kurewurst w kącie, choć mu się do tego mieszać nie wypadało, usta sobie ogromną łapą zatuliwszy, prychnął...

IX.

Piękny był, ciepły, jasny wieczór jesienny, jeden z tych dni, które lato przypominają, niemając już skwaru jego. Powietrze przejęte pół pożętych wonią, lekkie do oddychania, zdawało się posilnemi darami jesieni nasycone.

Po wsiach brzmiały gędźby i śpiewy, bo to u nas pora swatów i weselisk, godów i uciech. Stodoły i brogi pełne, pola zasiane, w najuboższym domu dostatek.

Okolo miasta też ludno było, żywo, wesoło; w karczemkach panien Zwierzynieckich Ostrzygońce i Kretkówku, w szynkach podmiejskich, w gospodach na przedmieściach Krakowa, ludek się posilał i zabawiał po drodze.

Mało który wóz nie przystanął tu na chwilę, usłyszawszy szalamaje lub kozę w szynku i we-

sołość jaka tam panowała. Wozy z końmi, którym trochę siana zarzucono, czekały na panów spokojnie.

Godzina zamykania wrót w mieście jeszcze nie nadeszła, a ówczesne bramy Florjańska, Sławkowska, Szewska, Wiślna, Mikołajska, Rzeźnicza stały otworem bez żadnej straży.

Nikt też tak dalece nie zwracał na to uwagi, że dnia tego, począwszy od południa, ziemian się do miasta ściągało bardzo wielu. Więcej może niż kiedykolwiek.

Ale że nie wszyscy jednemi wroty wjeżdżali, ani razem, a w ulicach nie bardzo zważano co się działo — nie rychło się postrzeżono, iż się jakby na jaki zjazd gromady zbierało.

Było w obyczaju naówczas i długo potem, iż gdy miasto gospód podostatkiem nie miało, mieszczanie znajomych i nieznajomych gości do siebie przyjmowali. Tak ci było i w Rzymie czasu tego jubileuszu 1300 roku, na którym się Łoktek znajdował, gdzie na ulicy Klaudja, do wszystkich domów pielgrzymi się wpraszały, a wszędzie ich ngaszczano — prawda, że za ich grosz miły.

Tak samo działo się w Krakowie. Tego dnia mało do którego ze znaczniejszych domów nie zapukał jeden z ziemian krakowskich.

Jechali z dworami zbrojnemi, co nikogo nie dziwiło, bo się bez broni nie ruszało za wrota — pokażcie poubierani, z czeladzią, z wozami. W ka-

źdej gromadce rycerstwa po kilku i kilkunastu, ludzi statecznych, znanych po nazwiskach i z urzędów każdemu.

Niektórzy z nich jak Wierzbęta, Kasztelan i Wojciech ze Żmigroda Wojewoda, mieli tu dwory swoje i do nich zajeżdżali, z sobą też innych wiodąc — Sandomierzanie i Kujawiacy do mieszczan się wprasali.

Przez wrota ze wszystkich stron ku wieczorowi napłynęło tylu tych gości, że i w ulicach poczęło być gęsto, a z bram, domostw i podworców gwar szedł wielki. Czeladź szynki i browary napelniała. Dopiero teraz Veit, dowódzca straży miejskiej i Viertelników opatrzył się, że gości tych w mieście tłum był do zbytku wielki.

Nikt się ich tu nie spodziewał, bo ani święta, ni zwołanego zjazdu nie było. Gdy tłum tak wielki nagle się znalazł, Veit rozpatrzywszy się w nim, niespokojny na Ratusz pobiegł, spodziewając się tam znaleźć Wójta Alberta. Ale tu go nie było.

Powiadano, że do brata Henryka pojechał.

W Ratuszu zastał tylko Veit burmistrza Amyleja z Muchowa, jednego z najzamożniejszych kupców, który do spraw miasta najmniej się był zwykł mieszać, swoich więcej dozierając.

Amylej czekał na Pawła z Brzega, z którym do mówienia coś mieli. Po wielkiej izbie Radnej przechadzał się sam, gdy Veit wbiegł mocno poruszony.

— Wójta, słyszę, doma niema.. ani się jego zastępców doszukać.. a tu sprawa pilna!

— Jaka? gdzie? — zapytał Amylej obojętnie. — Pobili się ulicznicy? czy podrapały przekupki?

Możny człek Amylej z Muchowa, nie rad się poufalił ze służbą i dowódcę chciał zbyć drwinami.

Veit, na którego odpowiedzialności bezpieczeństwo miasta było — brodaty i kudłaty olbrzym w hełmie śpiczastym, cały w żelazie — miał się też za ważnego człeka, i nie rad był Amylejowi dworować, bo ten nie żadnym Wójtem, ale prostym Rajcą był.

— Nasi panowie Wójtowie — rzekł — wczasu sobie zażywają.. a tu —

— Cóż? Gore? — spytał Amylej szydersko.

— A może i zgorzeć — odparł butno Veit — może i co gorszego powstać niż ogień.. jeśli nad ogień jest większa plaga...

Wodził po izbie oczyma niespokojnemi, gdy suknię opinając na sobie zjawił się z piwnicy wracający Hanusz, jeden z panów Wójtów.

— Co się tak sierzdzisz, Veit? — zapytał.

— Chybaście nie widzieli co się to w mieście dzieje, a na co już ja z Viertelnikami nie poradzę — zawołał głos rozpaczliwie podnosząc dowódca straży. — Ziemianie i rycerstwo miasto zaleli, zapchali... Pełno ich wszędzie, ścisk. Od wrót poprzybiegali ludzie i z Florjańskiej i z Wiślnej, że od południa jak procesja jadą zbrojni...

Wrót im przed nosem teraz nie czas zamykać — dodał — pełnusięko ich wszędzie. Na Okolu w kilku domach, do których ich gospodarze puszczać nie chcieli, nie znalazłszy indziej przytułku, wparli się siłą, mocą.

Mówił jeszcze, gdy z twarzą wylękłą, wbiegł Radny Hincza Keczer i począł wolać:

— Ziemianie i rycerstwo Kraków zajmują.. Niewiadomo jacy — czyi? Najechali bez oznajmienia żadnego.. Mało tego, że Krakowscy i Sandomierscy.. alem takich ludzi widział pełno, których oczy moje nigdy tu jeszcze nie oglądały, Jacyś obcy...

Jeszcze się drzwi za nim nie zamknęły, gdy Paweł z Brzegą, wsunął się zwolna, spokojniejszy pozornie od innych, lecz także chmurny i posępny.

— Wiecie? — zapytał go Amylej.

— Wiem, że miasto pełne — odezwał się Paweł. U mnie już stoją Toporczyki, a Greta gdyby Sula nie obronił, zajechaliby ją byli Różyce.. Odparł ich, komu innemu zachowując gospodę —

— Ale cóż za zjazd czy najazd? — krzyknął Wójt. — Gdzie nasz pan Albert?

— Mówią, że się wybrał do brata, do Miechowa — rzekł Paweł ramionami ruszywszy.

Veit obawiając się odpowiedzialności, dopominał rozkazów.

— Choćbym teraz na godzinę przed czasem wrota kazał zamykać — rzekł — cóż to pomoże.

Wcześniej mi nie przykazano. — Trudno ziemianom ulicy i drogi odmówić? Z początku po jednym ciągnęli, potem po kilku, w ostatku kupami...

— Każecie spuścić brony?

Paweł żywo się zwrócił.

— Ani się ważcie! — zawołał głośno. — W mieście już ich na tysiące liczyć.. Broń Boże wrota się zaprą, wrzawa powstanie, a szaleniec jaki brony łamać pocznie, byle kropla krwi pociekła, myśmy życia i mienia niepewni.

Wbiegł drugi Wójt przestraszony, czapkę rzucając na stół i ręce łamiąc.

— Przepadliśmy! — krzyknął. — Łoktkowi ludzie.. nie kto — gromadami wciągają.. pocztami, pułkami. Ulice pełne, rynek jak nabity — patrzcież!

— Kto mówił, że Łoktykowi? — zawołał Amylej.

— Wszyscyć wiedzą — a i poznać nie trudno, bo obszarpane draby i zuchwałe...

Veit we drzwiach rzucał się jak opętany.

— Cóż mnie czynić? — jęczał — ja im z moją pół kopą ludzi nie dostoję.

— Nic nie czynić! — wtrącił nakazująco Paweł. Stań i pokłoń się im — Wojta niema.. Co się stało nie odstanie.. Porwie się kto do nich! radzi będą i miasto obróćą w perzynę!!

Rajcy, którzy się w coraz większej liczbie ścigali, stali jak osłupieli. Niektórzy biegli do okien przypatrywać się.

Kawał rynku, który ztąd widać było, wyglądał wcale osobiłwie.

U każdych prawie wrót domu stali ludzie ry-cersecy helmy już pozdejmowawszy, jedni o łaźnie pytając, drudzy o szynki, inni o stajanie dla koni. — Oddziały coraz nadciągały nowe, — cze-ladź biegała krzycząc.

Hałas i gwar niósł się aż na ratusz. — Ostro-żniejsi kupcy na gwałt spiesząc ławki i budy za-mykali co żywiej.

Na całym mieście niepokój był i trwoga nie-wysłowiona.

Miejscowych, znanych ludzi, do których oczy były nawykłe, w ulicy prawie dojrzec nie można było. — Snuli się sami obcy, błakając i dopytu-jąc kułakami. Mieszczanie kryli się po kątach.

Nagle w rynku z dala, od Florjańskiej dały się słyszeć trąby i okrzyki. — Zbram powybiegali lu-dzie, w oknach górnych pokazały się głowy mie-szczek wylekłe, pod ścianami gawiedź i wyrostki stali ściśnięci w kupy. Patrzano w ulicę, od której trąby i wołania słyszeć było coraz wyraźniej.

Wszyscy radni i wojtowie powywieszali się z okien patrząc i oniemieli ze zdumienia.

Oddział, który poprzedzało chorągwi kilka czerwonych, łatwych do poznania, że czeskie nie były, bo lwów na sobie nie miały, z trębaczami i surmistami, ze zbrojną czeladzią liczną spokoj-nie na rynek wciągał.

Na przeciw niego z gospód i domów wysypali się starsi ziemianie, kasztelan, wojewoda, duchowni — i stali, jakby witać mieli.

Wjeżdżał więc ktoś starszy i dostojniejszy nad nich...

Wśród okolenia bardzo strojnie przybranego starszych mężów, ludzi wzrostem go przechodzących — ci co go nigdy nie widzieli domyślili się z postawy Łoktka.

Na ten wjazd uroczysty do Krakowa już mu umyślnie konia rosłego i silnego dobrano i przykryto szytem suknem i drucianą zbroją, — z siądzeniem błyszczącym od złota. On sam, do czego nie był nawykł, zbroję przywdziać musiał świetną i płaszcz szkarłatny z pasamanami złotymi.

Ziemiańskie w rynku stojące czapkami go, rękami, niektórzy dobytymi w górę mieczami miotając — witali głośno. A gdy się tu ozwały okrzyki, poszły od domostwa po ulicach echem i zabrzmiał niemi cały gród aż do przedmieści.

Rozległo się nemi i Okole pod zamkiem, a wrzawa ta Czechów na Wawelu obudziła.

Trzeba było widzieć, jak nagle się porwawszy na wały poczęli biedz, wrota zamykać, zabijać furty, brony spuszczać. .

W kilku kościołach wesóło dzwony zabrzmiały.

Biskup siedział nad swą księgą w małej izbie, gdy Kustosze Michał z Modnicy, ulubiony mu, wbiegl

do izby jak trup blady, tak że twarzą samą, prze-
raził, nim mógł wyrzec słowo.

Muskata zerwał się z siedzenia.

— Miserere nobis! — wyrwało mu się mimowolnie. — Co się dzieje?

Kustoszowi na odpowiedź głosu brakło.

— Miasto — miasto zała ne — począł niewyraźnie — pełne! Zajazd niespodziany ziemian, rycerstwa, ze wszystkich ziem. — Nikt nie doniósł, nikt nie przewidział. Zdrajcy mieszczenie wpuścili ich. Wojt uciekł do Miechowa — umyślnie.. Książę Władysław — Łoktek już w rynku.

Nazwisko to usłyszawszy zadrżał Muskata, usta mu zapadły — padł na siedzenie rękami twarz zasłaniając.

— A na zamku? — wyjąknął. — Czesi! co robią Czesi?

— Tak samo jak wszyscy niespodzieli się — odrzekł Kustosz. — Spisek był, — wołał namiętnie zburzony. — Zdradzono nas i ich!

Co W. Miłość czynić myślicie?

— Ja? ja? jękał się Muskata szukając myśli — ja? Nie! nie! Zamknąć wrota! Nie wiem o niczem.. nie przyłożę ręki do niczego. — Poczęto bez mej rady — niech kończą sami.

A po namyśle szepnął.

— Gdybym mógł, zjechałbym precz. Nie chcę patrzeć na to, ani się o nich ocierać.

Kustosz głową poruszał.

— Czeskie panowanie skończone! — rzekł. — Sprawa ich stracona.

Ten zuchwały.. Łoktek — zajął już wszystkie ziemie prawie, nie puści ich! Rycerstwo przeszło na jego stronę.. wszyscy...

— Ja — nie! nie! — przerwał Muskata.

Wygnyany był, tułał się już wiele kroć — pójdzie znowu na tułactwo.. Wyżeną go.. Prawowity król go przegna... Złamię... zwycięży.. Czechy siłę mają niemiec całych...

Biskup zaczął się rozgrzewać, lecz wprędce pohamował i głos zniżył.

— Idźcie — rzekł do Kustosza, — abyście wiedzieli co się stanie — donieście mi. Pozostanę wiernym mojej przysiędze.. Znać ich nie chcę — Wrota zaprzec...

Knstosz Michał z Modlnicy wysunął się szybko. Nie podzielał może zdania Biskupa, ale musiał mu być posłusznym...

Na mieście gorzało weselem jakimś i zwycięstwem.. ludzie chodzili niem jak upojeni, na mieszczan coraz większy strach padal.

Spokojni mieszkańcy łatwo teraz obliczyć mogli, iż gdyby najmniejszy stawili opór, naraziliby się na rabunek i pożogę.

Rycerstwo i ziemianie byli liczbą przemagający, a do nich łączyły się coraz przybywające pułki Łoktka. rozkładające się po placach, ogrodach i pustych dworzyszczach...

Lud ten do wojowania i łupieży nawykły głodny, chciwy, rozpuszczony ciągłym bojem, dowódcy ledwie mogli utrzymać w porządku na widok dostatków po domach i sklepach — krew, się w nich gotowała. Na uboczach też gdzie mogli gwałtem się do domostw parli. Słysząc było z dala krzyki niewieście i zwady.. Starsi biegali i jak mogli poskramiali wybryki.

Księciu pod niebytność Wojta Alberta otwarto dom jego, za nim na radę wciągnęli dowódcy i urzędnicy. Do koła stawiono strażę, w ulicy zatknięto chorągiew.

Kilku czeladzi posłanej przez Marcika, pilnowało wrót wdowy Grety, która z górnego ganku swego domostwa, sparlszy się na balaskach okalających górkę na poddaszu, stała najspokojniej przypatrując się temu, co się działo w ulicy. Kurcwurst tak był przelekły, iż laskę swą, obawiając się, by jej za broń nie wzięto, a jego za stawiającego opór — skrył najstaranniej do kąta.

Sam z ukrycia spozierając, zęgnął się co chwila i pacierz marmotał.

Greta jakby przygotowana była do tego, wcale nie okazywała zdziwienia, pewną będąc, że się jej nic złego stać nie może. O zamknięcie wrót nawet nie wiele się troszczyła. Pilnowała ich straż Marcikowa nikomu nie dając przystępu.

W klasztorach męzkich nie tak wielka jak u zakonnic panowała trwoga. Szczególniej Beginki,

których domy stały naprzeciw Dominikanów i Franciszkanów, pozamykały się szczelnie, bo schronienia ich pól tylko klauzury miały. Mógł do nich łatwo kto wkroczyć.

Jak tylko zasłyszano o Łoktku, którego wojska osławione były, okrzyki trwożliwe, jęki i lamenty napelniły dworki Beginek.

Nie bez przyczyny obawiały się, gdyż Franciszkanie i Dominikanie w sąsiedztwie pootwierali swe klasztory przybywającym, a Franciszkanie szczególnie, którym ks. Władysław winien był ocalenie swoje — jak swojego przyjmować się gotowali. Przywiązuje się zawsze do tych, którym się dobrze uczynić mogło; i dzieci Ś. Franciszka kochali małego pana, który ich habitowi winien był życie... Miłym im też był, bo jak oni ubogim, surowego żywota i wytrwałym.

Wśród tego zgiełku i zamieszania, którego noc nie mogła powściągnąć — dzień się skończył.

Straże miejskie wrót już zamykać nie śmiały, a Veit wahał się, czy mógł jak zwykle, wyciągać ze swoją garścią Viertelników w ulice, na których porządku utrzymać nie miał siły. W mieście panem był kto inny.

W domu Wójta Alberta świeciło we wszystkich oknach, drzwi stały otworem, w sieniach paliły się pochodnie, cisnęli się i wychodzili ludzie, gospodarza tylko nie było widać.

Wójt Albert nie wracał z Miechowa.

Mieszczanie mieniali się na Ratuszu nie schodząc z niego — co chwila bowiem spodziewali się żądań i rozkazów.

W Radzie miejskiej, dawniej spójnej i zgodnej, dostrzedz już było można jakby zarysowujący się podział na dwa obozy. Nie stały one jeszcze wyraźnie przeciwko sobie, lecz z wejrzeń, półsłówek, twarzy, humoru, mieszczanie poczuwali się sami do myśli różnych i uczuć niezgodnych.

Do najzajadlejszych, jawnych nieprzyjaciół księcia Łoktka należał naówczas niewchodzący do rady mieszczanin Herman z Raciborza, młody kupiec majątny, który był właśnie po ojcu odziedziczył domostwa i dworzyszcza znaczne w Rynku i przy ulicy od Ś. Franciszka wiodącej.

Ten na Ratusz wpadłszy, wszystkich Radnych lajał i narzekał na nich, iż nie czujni byli, że wrót nawet strzedz nie umieli, nieprzyjaciela wpuścili i miasto narazili na zgubę.

Człęk młody był, gębacz wielki i śmialek.

Nie odpowiadano mu, ledwie ramionami ruszając, bo się każdy ust obawiał otworzyć. — On jeden śmiało wywoływał.

— A na co nam się aż trzech panowie Wójtowie zdali, dziedziczny i wybrani, a Rajców tylu!! pięknie oni wszyscy dobra naszego strzegą!

Cóż teraz? Czechy jutro jeśli nie dziś z zamku wypadną i miasto zmieni się w popiołów kupę!

— Milczelibyście — przerwał mu gwałtownie

Paweł z Brzega. — Wy ważycie swoje mienie aleć i my też do stracenia coś mamy. — Co się stało, musiało — inaczej nie było można.

— Tak! tak — wołał Herman zapamiętały. — Dobregoście panka sobie wybrali, żebraka, włóczęgę, któremu jutro na chleb i słoninę dać będzie trzeba, choćby gźło ostatnie przyszło zdjąć.

Rzucał się tak a łajał. Radni stali i milczeli.

— Niemożna było inaczej! — powtórzył Paweł, jak gdyby się czuł obwinionym. — Cóż byś ty mądry Hermanie, czynił? co? Wrota byś zaparł, czeladź zwołał do obrony — hę? Byliby szturm radzi przypuścili i miasto złupili.. Lepiej dać chleb i słoninę, niż życie.

— A oni z was, z nas — krzyknął Herman — naprzód gźło zdejmą, a potem życie.

Tak się z sobą ucierali.

Z Ratusza słano po Wójta...

Nie prawdą było, jakoby do brata do Miechowa miał zjechać. Wiedzieli jego zauszniccy, iż chcąc pierwszej chwili uniknąć, zjechał na czas i w Krowodrzy się ukrył, zkađ przybyć obiecał, gdy wszystko będzie skończone.

Teraz gdy się skończyło, Kraków został zajęty — spodziewano się jego powrotu.

Noc już była późna, gdy w kilka koni, ze służbą, na tęgiej szkapie, przy mieczu, wpół zbroi zajechał Albert przed dom własny. Z szat nawet poznać było łatwo, że nie z podróży wracał, ale

przygotował się stanąć przed księciem. Ubrany był świątecznie w jedwabiach, kożuszkę lekką, na szyi miał łańcuch i kołpak soboli, a rękawice szyte u pasa.

Zsiadłszy z konia, sam, nie prowadzony przez nikogo, poszedł wprost do izby swej większej, w której księcia się zastać spodziewał, bo w oknach jej się świeciło.

Tu pacholćkowie stali z pochodniami, panów pełno było, Wojewodów dwu, Kasztelanów czterech, Klemens Kanclerz, Sędzia Smił i z rodów przedniejszych krakowskich i sandomirskich po kilku starszych.

Stał tu i Mieczyk Topor, czekając na łaskawe wejście pana, ale Łoktek choć dawno go widział, zwrócić się do niego nie chciał.

Wszyscy się poruszyli, gdy w progu ukazał się Albert. Łoktek siedzący wstał i podszedł ku niemu mierząc go oczyma.

Pan był dnia tego dobrej myśli i otworzystego serca, wszystko mu się uśmiechało, więc albo nie widział, że Albert gdyby jeniec, mimowoli, zmarszczony szedł doń z pokłonem, albo widzieć tego nie chciał.

Niemiec głowę pochyliwszy, stał gdyby onie miały. Pierwszy się odezwał Łoktek.

— Wójcie Albercie — rzekł — o miasto się nie trwóćcie, złego mu nie chcę. . Owszem, przy-

wileje wasze stwierdzą i powiększą je... Będę wam ojcem łaskawym.

Tu ręką wskazał na otoczenie swe.

— Widzicie, że mnie tu wszystkich ziemian i rycerstwa wola powołała, a i prawo mam do państwa tego lepsze niż Czech...

Bogu się podobало posadzić mnie na tej stolicy — mieczem moim utrzymam się na niej.

Albert kłaniał się milcząc jeszcze, a Łoktek głos nieco podniósłszy dodał:

— Będę wam ojcem dobrym, słowo dane strzymam, ale dzieci chcę mieć posłuszne i wierne. Gdzie mi się kto sprzeciwi, tam ja sprawiedliwość sobie krótką domierzam, nie litując winnego.

Uśmiechał się mówiąc to dobrotliwie i schyłego Wójta po ramieniu poklepawszy—dokończył:

-- Bądźcie nam jako gościom dziś radzi — panie gospodarzu!

Wójt pomruczał coś niewyraźnie, pokornie się schylając. Z pod oka patrząc na małego pana, badał go.

Z zimnej, stężałej twarzy Niemca, nikt nie mógł odgadnąć, z jakim uczuciem przyjmował Łoktka, ale w duszy jego wrzało. Wstyd mu było po możnym królu Wacławie, kłaniać się temu wygnańcowi, włóczędze — którego za pana swego uznawać był zmuszony.

Wójt, który się czuł możnym, silnym — prze-

widywał, że książę mały żelazną dłoń mieć będzie. Ale potrzeba się było poddać konieczności.

Kłaniał się nisko — musiał!

Natychmiast w domu swoim zajął się przyjęciem, chcąc okazać, że miał czem pana ugościć.

O śnie nikt tu nie myślał. Slano co chwila i odbierano wiadomości od zamku, których książę najpilniej żądał.

Chociaż noc była ciemna, a księżyc nie wszedł jeszcze, Łoktek nie wytrzymał i konia sobie kazał dać, aby w kilkanaście towarzystwa pod Wawel podjechać.

Co się we środku zamku działo, trudno było odgadnąć, ale po wałach strażę chodziły gęste, wrota i furty były pozamykane i poobsadzone — czujność widać było wielką. Że Cz chy wiedziały już o zajęciu miasta przez Łoktka, o tem nie można było wątpić. Co tam postanowili względem obrony, miały dni następne okazać.

Wzywać do poddania się załogę nie chciał książę wprzód, ażby go uroczyście pod Wawelem panem okrzyknięto. Z Poznania wiadomości jeszcze nie było czy się uda Wincentemu z Szamotuł i ziemianom przez niego zyskanym, Władysława obwolać...

Cisza na Wawelu, niezrozumiała, zagadkowa panowała. Czesi, którzy nawykli byli tłumami schodzić do miasta i gościć w niem do nocy, wszyscy zbiegli na Wawel i zamknęli się na nim,

Jednego, pochwyconego w łaźni, w której się ukrywał, przyprowadzono do badania, lecz ten wylekły, zaprzysiągł się, że o niczem nie wi- dział.

Loktek opatrzuwszy wały z dala, strażę porozstawiać kazał do koła — a do o aczających ze śmiechem się odezwał, że już raz z zajętego Krakowa zmuszonym był w habicie uciekać i drugi raz podobnego losu doznać nie chce. Wojewoda Wojtek ze Żmigroda zapewnił księcia, iż ludzie czujni będą przy zamku noc całą, a załoga z pewnością o wycieczce nie pomyśli.

Ubezpieczywszy się Loktek, wesoło nazad do wojtowego domu powrócił, gdzie czekała nań zastawiona wieczerza i ludzi dosyć, gdyż ziemianie ciągle jeszcze napływali, a każdy pragnął się nowemu panu pokłonić.

Marcik, który z księciem zamek objeżdżał, ukazując mu jego słabizny, bo te czasu pobytu w mieście poznać się starał — odwiózłszy pana do dworu wojtowego, sam teraz o sobie chciał pomyśleć. Cały dzień czynny u wrót różnych, z mieszczany, po gospodach, przybyłych rozprawdając, chciał zajrzeć do Grety, u której wrót straż postawił, aby mu tam nikt się nie wdarł obcy.

Choć noc była pewnym był, że ją znajdzie czuwającą, bo w całym mieście nikt nie spał, ani o śnie mógł pomyśleć. Żołnierze lękali się Czechów, Czechy zdrady, mieszczanie ludzi Loktkowych, — trwoga nikomu nie dała zawrzeć oczów.

Czeladź, która dworu wdowy pilnowała, rozkazanie mając nikogo doń uie wpuszczać — wrota pozapierawszy, w podwórzu bezpiecznie spoczywała. Wdowa tym swoim obrońcom, rada nie rada musiała wysłać piwa i jadła. Siedziała w izbie swej, w której Kurcwurst wylekły kąta ciągle bezpiecznego szukał na wypadek napaści, a żaden mu się dość pewnym nie wydawał.

Czeladź Marcika posłuszna rozkazom pana, nawet Pawła z Brzega nie puściła do Grety, choć ona sama o to się upominała i gniewała, że słuchać jej nie chciano.

Gdy Marcik zastukał i zawołał otworzyli mu jego podwładni śmiejąc się i dopominając nagrody za to, że tak ściśle spełnili jego wolę.

W izbie gościnnej świeciło się jeszcze — wszedł wprost do niej.

Spodziewała się wdowę znaleźć wdzięczną i radą, a zobaczył nadąsaną i gniewną.

Z rozpuszczonym na ramiona włosem siedziała w kącie, długo się nie odzywając. Dopiero gdy Marcik witając poszedł ku niej, zawołała:

— Cóż to? czyście mnie w niewolę wzięli?

Suła się zdziwił pytaniu.

— Chcieliżście abym wam tu puścił ciurów i żoldactwo? — odparł Marcik.

— Alboż jabym się ich zlekła? — zawołała mieszcza. — Możebym wołała ich niż taką niewolę, i więzienie przez dzień cały.

Ja takiej opieki nie potrzebuję!

Marcik stał prawie zrozumieć nie mogąc.

— No — rzekł — toście mi dopiero wdzięczni za to, że was ratowałem, i jak przy księżnie jakiej straże rozstawiał!

Greta spojrzała nań groźnie.

— Wy, bo sobie nie wiedzieć jak e prawa do opieki nademną roście e! — wybuchnęła.

Suła posmutniał, ręce założył na piersi i pocałował się jej przypatrywać. — Chodziła po izbie mocno wzruszona

— Otóż mam przyjęcie' — zanurcz ł — gdyś się całe innego spodziewała.

— Wy wiecie — mówiła sając na przeciwko niego i mierząc go oczyma — wiecie, że ja niewoli nie znoszę żadnej. Nieboszczykowi mężowi nie dałam się spętać, ani opiekunowi — nie dam też i wam.

— A komuż?

— Nikomu, nigdy! — odparła dumnie niewiasta. — Jeśli z dobrej woli oddam się komu... pewno — nie wam!

— Dla czegoż nie mnie? — oburzył się Marcik. Ja was nie chcę mieć niewolnicą, tylko żoną. — Nie jestem lada podły chłop — ziemianin, rycerz, powinowaty panów na Tęczyźnie — toć przecie mieszczykiem wart? Prawda, że bogactw nie mam, ale ziemi kawał od pana dostanę — bo mi to przy-

rzekł.. Wyposażenie od niego mieć będę — a was wezmę choćby bez wiana i grosza...

Miłowałem was dziewczką, miłuję wdowę — a — przysięgajcie sobie jak chcecie — moją musicie być!

Greta rzuciła się jak szalona.

— Dla mnie musu nie ma i nigdy nie będzie! — krzyknęła — Wy mnie sobie miłujcie, ale mi z oczów idźcie, bo mi się już was słuchać i patrzeć na was znudziło.. Ja was nie chcę...

— Nawet gdyby książę był mi swatem?

Greta rozśmiała się szydersko.

— A co mi wasz książę? Przykazać nie nie może, ojcem mi nie jest.., a jam się rodzonemu opierała!

Marcik niespodziewający się takiej odprawy — zaniemiał.

— Greto! Greto! — odezwał się smutnie — serca i litości nie macie! Taka to nagroda za wierne służby moje!

Niemka pogardliwie odparła.

— Kurewurst też służy mi wiernie i dawno, — przecie za niego iść nie myślę.

— A jam nie wart więcej nad niego?

— Kto to wie! — zaśmiała się wdowa.

Marcik przybity nieco, wprędce otrząsł się z rozpaczny wielkiej i zawołał.

— Dziś na was coś napadło! Giez jakiś pokąsał; w lepszą godzinę będziecie łaskawszą

To mówiąc poszedł ku niej rażno, jakby w pół chciał pochwycić, — wdowa cofnęła się na kilka kroków, zmierzyła go oczyma straszniemi i ręką sięgnęła do noża u pasa, który ją nigdy nie opuszczał.

Suła padł gniewny na ławę.

Spojrzawszy nań raz i drugi, Grecie się może żal go zrobiło — przeszła się po izbie, zobaczyła na stole stojący dzban i kubek, i brząknawszy nim pokazała Marcikowi — który pogardliwie potrząsł głową.

— Zbyć się mnie chcecie — rzekł, — jak najemnego stróża, płacąc napitkiem i strawą!

Greta się powoli rozweselała.

— Za nic liczysz, że ci się śmieję i że łaję! — rzekła.

Marcik, który pokusie dzbanka z trudnością mógł się oprzeć, podszedł ku niemu i do kubka nalewać zaczął.

— E! z wami, babami — zawoła, — człek duszę gubi, a nigdy nie dojdzie do końca!

Zebrało mu się na narzekanie.

— Myślicie, że ja bym tu pracował tak do zdechu choćby i dla księcia? Życiem ważył, szyję nastawiał, wysługiwał się u niego tylko dla tego, aby zarobić na kawałek ziemi, gdziebym z wami mógł sięść!

Zaprawdę nie wiecie jak was miłuję — tyle lat, tyle lat: i nadaremno!

Ale — upor na upor — wy nie chcecie moją być — a ja wam powiadam — musicie!

Uderzył ręką o stół. Greta zbliżyła się do niego, ręką w pięść ściśniętą stuknęła.

— Nie muszę i nie będę!

W oczy sobie patrzyli śmiało.

— Gwałtu mi nie uczynicie, — rzekła — ani ty, ani książę twój. Jak nie zechcę, sposób znajdę od was się uwolnić.. Nie przymusi mnie nikt! Słyszycie — nikt!

Marcik pić począł, jakby sobie lekcewał, próżną mowę, Greta coraz się mocniej rozgrzewała.

— Ani ty, ani nikt mnie w niewolę nie weźmie!

— Szkoda wam Czecha! — śmiał się Marcik.

— Chyba dla tego, że ten mi musiem nie groził.

— Wolicie Wurma?

— Wurma? liczcież dalej, — przerwała niemka. Jest jeszcze kilku.. Mały Dunin pięknego rodu i możny pan, który mi się na kolanach przy-sięga, że do ołtarza gotów choć z mieszczką; — jest Prandota z Woli, co także księdza chce spro-wadzić — jest takich dosyć! —

Śmiała się.

— Widzicie — dodała — trudno abyście wy od nich mieli być lepsi.

Sula się za piersi szarpnęła.

— A kto nademnie dawniej was miłuje? — zawołał.

— Myślicież że miłość jak miód, im starsza

tem lepsza! A! nieprawda! Ona jest jak piwo, które postawszy kwaśnieje.

Kurewurst posłyszawszy to, począł się śmiać głośno. Marcik się oburzył, a Greta popatrzwszy nań spokojnie poszła zająć swe miejsce.

W tem do wrót gwałtownie bić p zaczęto, jakby je wyłamać chciano.

X.

Marcik gniewny już wybiegł w podwórze, rad że na kimś spędzi złość swoją. Tu zastał czeladź zajadle broniącą wrót. Dobijano się do nich szturmem wielkim wołając:

— Otwierajcie, bo wywalim!

— Do kordów! krzyknął Suła, — który sam już swojego dobył. I podbiegł do wrót, grożąc:

— Precz! Nie ważcie mi się, — porąbiemy w szmaty...

Lecz do czynienia miał z równie zuchwalemi, jak sam był.

Pan Wincenty z Szamotuł, którego widzieliśmy u Łoktka, nadażył późno z Poznania. Wskazano mu po drodze, jako jedyną niezajętą gospodę, dom Grety.

Człowiek był nie dający się łatwo i lada czém odprawić, gotów do korda i z licznym dworem zbrojnym.

Z obu stron bramy poczęło się łajanie wzajemne od słów ostatnich i pogróżki. Czeladź Marcika była podpiłą.

W tém na próg domu swego wybiegła Greta.

— Jakie wy macie prawo — krzyknęła, bronić komu u mnie zająć gospodę? — Ja chcę mieć gości jako i drudzy...

Suła odwrócił się, nie odpowiedział nic, ale nstąpić nie myślał.

Greta wołała ciągle.

— Wolę gospodę dać dobrowolnie, niż żebyście mi się zabijali we wrotach i broczyli... Czemu nie puszczacie?

— Bom ja tu sam dla siebie gospodę zajął — krzyknął Marcik — a takim dobry jak i drugi!

— Łżesz! zawolano z za bramy. — Niemożesz mi być równy, choć byś ziemianinem był, bo ja ani w swej ziemi, ani w żadnej równego sobie nieznam!

Był to głos dumnego Wincentego z Szamotuł, który z rodu i mienia czuł się książętom równy.

Marcik też gdy w złość wpadł, nie ustąpił by był ani książęciu. Lekce sobie ważył napastnika.

— Precz, bo się krew poleje! — krzyczał.

— Poleje się ale twoja, zuchwalcze podły! — grzmiał głos zza bramy.

Wrota choć mocne były i choć je drągami i plecami trzymała czeladź Marcika—chłopy silne—naparte mocno trzeszczeć zaczynały. Greta stała w progu, patrząc na to jak na zabawkę, a Kurewurst za nią skryty ręce łamał, wszystkich świętych wzywając na pomoc.

— Miłosierny Boże! na rany pańskie! oni nas tu wszystkich pozabijają! Marciku... puszczaj ich, bo nieszczęścia będziesz przyczyną...

Sula ani słuchał, oni myślał ustępować.

Wrota naparte zaczęły się coraz bardziej wewnątrz chylić, giąć, łamać i padać w kawały... Ludzie Szamotulskiego, wyrywając z nich deski, wyłom zrobili, i jak tylko zewrzeć się mogli z czeladzią Marcika, padli na nią z berdyszami i obuchami, Marcik siebie nie żałując, dopadłszy otworn, mieczem żgał po łbach i po hełmach, aż brzęczało...

W tem Wincenty, serca okrutnie gorącego człek, miecz w rękach mając obosieczny wielki, w obie dłonie go ujął, zamachnął nim i stojącemu naprzeciw Marcikowi. nie tylko kord wytrącił, ale głowę obnażoną przeciął i — krew płuśnęła...

Czeladź zobaczywszy pana padającego na wznak, z rękami rozpostartymi i wołającego—Jezus! Marja! —spłoszyła się a Wincenty z Szamotuł bramę do reszty wylamawszy, w podwórze wtargnął.

Ledwie czas mieli Marcikowi ludzie pana po-

chwyciwszy—pastwić się nad nim nie dając, unieść go wewnątrz domu.

Wdowa namarszczona nie ustępowała z progu. Spojrzawszy na pięknego, młodego, pańsko stąpającego mężczyznę, który miecz jeszcze trzymając w ręku, przystępował do niej z poufałością rycerza, mieszczkę sobie mało ważącego — przybrała też dumną postać.

Piękne lice i bogaty strój gospodyni, na zuchwałym napastniku uczyniły pewne wrażenie.

— Gospodę tu mieć muszę, piękna moja! — odezwał się do niej.

Pokręciła Greta główką.

— Piękna — ale nie twoja! odparła mieszcza — biorąc się w boki. Gospodę siłą zajmujecie, choć wojny niema! Nie dziwujcie się potem że wam i waszemu księciu miasto sprzyjać nie będzie — kiedy od gwałtów poczynacie!

Wy sobie jak na polskim prawie zajeżdżacie, a my tu siedziemy na niemieckiem.

Wincenty słuchał, mieniali wejrzenia, łagodniał jakoś, a ona też kończyła głosem mniej gniewnym.

— Wam ja gwałtu nie zadałem — odezwał się gość — piękna gosposiu — bom sam słyszał żeście puszcząć kazali, a zuchwalec ten, ni was, ni mnie, za nic nie miał.

— Ma on już za swe — dodała Greta, dajcież pokój jemu i ludziom. — To rzekłszy, powoli weszła do izby, a Wincenty podążył za nią.

Naprzeciw w komorze położono rannego Marcika — temu, stara gospodyni nadbiegłszy, głowę już obwiązywała płachtami, ale mającżył, tak mu ów raz silny mózg wstrząsnął.

Greta ledwie nań okiem rzuciwszy, gościa nowego przyjmowała.

Znudzona, rada była człowiekowi, który jak inni, znalazłszy ją bardzo piękną i wypieszczoną jak wielką panią, dał się jej bałamucić, zapominając o wszystkim po troszę.

Przybyły miał tę pańską ogładę, która niewiastom jest miłą, bo wyższość jakąś obiecuje, choć najczęściej jest łupiną gładką pustego orzecha.

Greta więc uśmiechała mu się i spoglądała nań rada, a pierwszy gniew ustąpił wrodzonej zalotności. Rozmowa stała się bardzo zabawną.

W końcu, gdy późno się już bardzo zrobiło, Greta na górkę się cofnęła, drzwi wszystkie zamykając i ryglując za sobą, i sługi stawiając przy nich na straży...

Gdy się to działo, Marcik uspokojony, zasnął mocno.

Dopiero ze dniem przebudziwszy się i oprzytomniwszy, ludzi swych widząc przy sobie — wczorajszą przygodę przypomniał.

Nalegał koniecznie, aby go natychmiast precz ztąd niesiono, bodaj w nlicę, na śmiecisko, byle pod jednym dachem z wdową nie był. Nie było sposobu go usłuchać, bo wszędzie ciasnota była wiel-

ka — a on ranny... Więc choć się rzucał i gniewał, nie posłuchano

Nazajutrz, jak dzień, ruch w mieście większy się począł niż wczora.

Pogoda nowemu panu sprzyjała, mogło więc zgromadzone ziemianstwo różnych krajów całe skupić się w rynku i około ratusza, bo nigdzie indziej miejsca dlań dostatniego nie było.

Rano bardzo zaczęli się ściągać przybyli.

Wszystkim wiadomo było, że krakowianie, sandomierzanie, kujawiacy, rycerstwo innych ziem, mieli dnia tego okrzyknąć Łokietka nietylko księciem krakowskim, ale dziedzicem całej polskiej korony. Brakło tylko z wielkiej polski tych coby przynieśli zgodę na to, a że korona w Gnieźnie była, bez której Łoktek królem być nie mógł — wiele na tem zależało.

Na dworcu wójta Alberta, przez noc całą posłów z Poznania oczekiwano — niecierpliwiąc się iż ich nie było.

Wincenty z Szamotuł późno przybywszy, znużony, potem przez piękną wdowę zbałamucony, dopiero nazajutrz, odziewszy się pysznie, na koni siadł jechać do księcia.

Chociaż wcześniej było bardzo, Greta nawpół przyodziana wyszła odsunąć okiennicę, aby się po dniu gościowi swemu przypatrzeć.

Na dzień najpiękniejsze szaty gotować sobie kazała.

Radośnie powitał książe wielkopolskiego posła — lecz po krótkiej z nim rozmowie — brwi mu się ściągnęły, usta zaciał. Wielkopolanin stawiał się sam, ale za innych poręki nie dawał. — Znaczniejsza część szlachom sprzyjała — a książe już biskupa i duchowieństwo jednając sobie, Kanclerstwo dziedziczne katedrze poznańskiej przyrzekał.

Wysłuchawszy Łoktek — nie rzekł nic — odwrócił się, kazał rękawice i helm podawać, aby na rynek jechać, gdy Wierzbęta przystąpił z radą, aby do Muskaty śłać i czemkolwiek jego skłonić do pojednania się.

Łoktek i do tego wielkiej nie zdawał się przywiązywać wagi, ani chciał długo czekać. Wysłał kasztelana z kanclerzem do biskupiego dworu, który znaleźli zamkniętym.

Odźwierny, dawszy się im długo prosić u wrót, wystawił głowę i na zapytanie o Muskatę oświadczył iż go doma nie było. Nie wiedziano, lub mówić nie chciano, dokąd się schronił.

Książę oknem zobaczywszy powracających — gdy mu znak dali iż biskupa nie znaleźli, natychmiast konia dosiadł.

Widok był piękny i uroczysty. — Sam książę na ten dzień złoconą wdział zbroję, helm umyślnie dlań przygotowany, który otaczała korona, płaszcz białym futrem podbity; ostrogi złote, miecz w pochwach kamieniami ozdobnych... Koń pokryty cały, pióra miał na głowie, i rząd wyłaczany.

Wojewodowie, kasztelanowie, jechali strojni od szkarłatów i złota.

W rynku, co najprzedniejsi z ziemian, ogromnem kołem stali. Ziemia każda z osobna pod chorągwiami, rody i zawołania pod znakami własnymi. Ci, którzy tarcze mieli, nieśli na nich malowane godła, innym świeciły na piersiach w sukniach szyte... Pośledniejszy lud gromadził się za pierwszymi szeregi, do których najmożniejszych i najpoważniejszych dobrano...

Gdy zdala ukazał się przybywający Władysław, szmer poszedł naprzód głuchy po tłumach, potem wołanie się ozwało, kołpaki i ręce podniosły do góry.

— Jedzie! jedzie!

Zwolna zbliżał się Łoktek z twarzą wypogodzoną, witając stojących po stronach ręką i głową, uśmiechając znany.

W pośrodku koła miejsce dlań zgotowane było i garstka dnochowienstwa czekała.

Niektórzy natychmiast okrzykiwać już chcieli, lecz starszyzna milczenie nakazała.

Szli naprzeciw księciu najdostojniejsi z głowy odkrytymi, do których i Wójt Albert ze ściśniętem sercem przyłączyć się musiał.

Mały Książę stanął w pośrodku na mieczu się oparłszy — i czekał. W imieniu ziem swych, Wierzbęta, Wojtek ze Zmigrodn. Żegota i Prandota Sandomirsey, Toporczyk jeden, Leliwa, Ka-

niowa, Ostoja. Różyc, Śreniawa, wystąpili naprzód i głos zabrał Kasztelan.

Książę długich mów nie lubił, obeszło się więc słowy niewiele.

— Miłościwy panie — rzekł — ziemianie i rycerstwo wszystkie zgodnie proszą i wzywają, abyś im panował.. Ze krwi i prawa należy ci stolica i moc nad nami. Wierność ci poprzysiegamy. Rządź i sądz sprawiedliwie...

Dodali inni po troszę, a tłum ledwie można było utrzymać, aby milczał, tak w nim wrzało.

Rękami i chorągwiami musiano dawać znaki, aby do czasu wstrzymano okrzyki, szmer niósł się że ledwie mówiących słyszać było.

Książę odezwał się też krótko:

— Coście za Bożem natchnieniem postanowili, jako wolę Bożą przyjmuję... Przysięgam wam rządzić i sądzić po ojcowsku, władać i bronić ile sił stanie — krwi i potu nie żałować.

Jedności nam potrzeba do siły, abyśmy nieprzyjaciółom się obronili i pokoju zażywali.

Uderzono we dzwony u Panny Maryi, a wnet i inne kościoły odezwały się bijąc na wesołą nowinę — i ogromny okrzyk, jak huk burzy, wszystko zagłuszył...

Książę otoczony przez dwór swój, z Wojewodami Kasztelanami, i co było Comesów i Baronów, do Panny Maryi szedł Bogu dziękować.

Okrzyki nie ustawały i co słabnąć się zdaly, to znów podniesione rosły, wznagały się, buczały.

Cizba im wtórowała... po mieście całem tak, że na Wawelu stojący u wałów — jak groźby i wyzwania ich słuchać musieli. Na zamku cicho było jak w grobie, w mieście dzwony, trąby, kotły, i wrzawa nie ustawały brzmiąc groźnie..

Gdy się nabożeństwo skończyło a książę z panami wyszedł z kościoła, powitano go okrzyki nowemi.. Wszystkim jakby kamień spadł z serca.

Poczęło się więc biesiadowanie, nie wielkim ładem ale wesoło i bucznie. W ulicach powystawiano ławy, stoły, a gdzie ich brakło wrota i drzwi na beczkach pokładzono; znoszono chleby i dzbany, jadło jakie się pod ręką znalazło.

Mieszczanie dosyć ochotnie co kto mógł dostarczali — choćby miasto miało być ogłodzone.

Jedni po domach, drudzy w rynku, po podwórzach i ogrodach pozasiadali na gołej ziemi.

Miasto wyglądało jak szturmem wzięte, a niewiasty krom w oknie gdzieś na strychu, prócz posługujących bab starych, nie najrzał nikt. Pochowały się wszystkie. Kramy też, sklepy, ławki, prócz tych, w których żywność sprzedawano, stały zaparte. Mieszczanie znikli wśród gości.

Do późnej nocy śpiewami i śmiechy rozlegały się ulice.

Wincenty z Szamotuł, niewiele zyskawszy

u nowego pana, bo mu mało co przyniósł, prędko się uwolniwszy, do gospody swej powrócił.

W komorze naprzeciwko leżał ranny Marcik i dobrze, że ani słyszał ni wiedział, jak wesoło, strojna w klejnoty i pasy, Greta gościa swego przyjmowała, jak rada z nim wiodła rozmowę, jak i na cytrze mu grać i piosenki śpiewać nie odmawiała.

Szamotołski pan głowę tracił dla urokliwej zalotnicy, i więcej sobie pono obiecywał po niej, niż ona myślała.

Okazała się na nim dopiero wielka sztuka niewiasty, która umiała i pociągać i odpychać, dopuszczać do siebie i bronić zbytniej poufałości, być dumną i łaskawą, gniewną i uprzejmą na przemiany.

W ciągu doby gościa swojego niemal do szalu doprowadziła, tak, że w końcu nie wiedział czy mu sprzyjała czy drwiła z niego.

Pod wieczór chciał do księcia znowu iść, aby mu się zalecić — przybył bowiem dla tego tylko; Greta gdy się naposiadła nie puściła go a w końcu, gdy już zapóźno było, wyśmiała jeszcze.

Gość był młody, przystojny bardzo, wesół, śmiały, wszystko mówiło za nim, ale mieszcza spodziewać się nie mogła, aby tak wielki pan myślał o niej na prawdę. — Pomimo to obchodziła się z nim jakby mu głowę zawrócić chciała koniecznie.

Zmęczony go dobrze temi zalotami próżnemi, gdy późno się robiło, wyrwała się bardzo zreźnie, obawiając się uzuchwalenia i kryjomo zbiegła do stryja Pawła, u którego się schroniła. Trzęsiono dom cały szukając jej napróżno.

Na przeciwko ciągle jeszcze, o niczem nie wiedząc leżał Marcik, a choć go i tam śmiechy i głośne wołania dochodziły, był jakby zdrętwiały i zobojętniały na wszystko. Opatrywano go, dawał z sobą czynić co chciano — o nic nie dbając.

Jednego z ludzi swych posłał tylko ze skargą do księcia, opowiadając się, że został napadnięty i porąbany. — Służyć teraz nie mógł a na Łowczę do wyleczenia się prosił.

Łoktek żałując wiernego i potrzebnego sługi, posłał doń nie tylko Kanclerza, ale kanonika doktora Raclawa, którego z pod Skalki, gdzie dom z ogrodem miał — przywieziono, aby rannego opatrzył.

Książę rozkazał przez Kanclerza, aby prędko wyzdrowieć się starał, bo mu był potrzebny, i z miasta się nie oddalał. Pozostał więc Marcik u Greta.

Nazajutrz rano nową radością, niespodziewaną zabrzmiał Kraków. Stało się czego tak rychło nie obiecywano sobie. Oddziały straży pod Wawelem stojące nie słyszały w nocy nic — ruchu tam nie było żadnego. Gdy rozedniało, bramy zawarte były jak wczoraj, ale chorągwi czeskiej ze Lwem

nie postrzeżono nad dworcem i na wałach ludzi nie było. Lękano się zasadzki jakiej i zdrady — wysłano do księcia z oznajmieniem, że Czechów coś czuć nie było.

Dowiedziawszy się o tem Łoktek, jak stał, ledwie zbroję na siebie opiąwszy, na konia cudzego siadł i pod zamek popędził. — U wrót stanąwszy posłał herolda z chorągwią i rogiem, aby wyzwał na rozmowę dowódcę.

Trąbili długo i wołali, nie ukazał się nikt.

Biały dzień się już robił, nie wiedzano co poczynać.

Oddział Krakowian z Toporeczykami na czele i Miecznikiem, który łaskę pańską chciał odzyskać, rzucili się na oślep do wrót z siekierami, rąbiąc je i łamiąc. Nikt nie bronił ich i już mieli bramę wywahać lub ogień pod nią podłożyć, gdy w jednym okienku ukazał się człek blady, schorowany, który mówić nie mogąc rękami dawał znaki, że na zamku nikogo nie było.

Co żyło posypało się drapiąc na wały, na ostrokoły, łamiąc je i cisnąc do zamku, z radością niezmierną, aby go księciu otworzyć.

Okrzyki wesołe doszły na miasto, zkąd wszyscy biegli ów cud oglądać, a mieszczenie mu najwięcej byli radzi, bo się walki z Czechami obawiali dla siebie.

Gdy wrota od tak dawna przez obcych strze-

żone otwarły się wreście, a Łoktek żegnając się krzyżem świętym, wszedł na ten gród praojców—choć mu lice się rozjaśniło na pierwszym kroku, wprędce posmutniał.

Oczom jego przedstawiał się widok bolesny, przerażający. Wrześniowe słońce poranne z zamgły się wybijając, oblewało go światłem jaskrawem. Gród stał pusty, milczący. Jeden chory łazarz, leżący u wrót, bezsilny, ledwie żyw witał go osłupiałemi oczyma. Ślady niedawnej pogorzeli wszędzie były widoczne. Kościół stał ruiną ledwie polepioną; — dwa inne poczęte ledwie się cokolwiek nad ziemię podnosiły. Dworców pańskich jedynym szczątkiem były ogorzale słupy, kupy rumowisk i popiołów. Opuszczając budy, które sobie na zamku wystawili, Czesi gniewni poniszczyli je i zburzyli.

Stały na nich podarte i pokruszone dachy, powyłamywane wrota, porąbane uszaki i ściany.

Śmieciska tylko i gnoje zalegały podwórca na pół z kamieniami i belkami.

Na tem dziedzictwie swem nowy pan — nie brał nic oprócz zwalisk i pamięci lepszych starych czasów, gdy wesele i dostatki złociły to zameczysko.

Stanąwszy u drzwi kościelnych, lada jako z tarcie zbitych, kazał je otworzyć książę i wszedł do katedry, po ostatnim pożarze cokolwiek już

opatrzonej. Pomodliwszy się u krzyża w ołtarzu, szedł w podwórcę dalej.

Zdechłe konie i kości bielejące pod wałami, łachmany i gruzy go witały — ale był tu panem... Czoło okryte zmarszczkami znowu się wypogadzać zaczynało.

W tej chwili nadbiegający jeden z rycerstwa jego z chorągwią pańską zatknął ją na najwyższym cyplu góry i wszyscy powitali ją okrzykiem.

Reszta wojska ujrzawszy ją z miasta wtórowała mu radośnie.

Sypał się lud, biegli żołnierze, — cisnęło się pospólstwo, szły już pulki co rychlej zajmować gród, który kropli krwi nie kosztował, z takim weselem jakby skarby na nim czekały...

Łoktek wszedł do dworca, który tej nocy jeszcze zajmował Paweł z Paulsztynu, do izb ogołoconych ze wszystkiego i odartych i zdjął hełm ze skroni.

— Tu teraz miejsce moje! — zawołał rażno — nie znajdę już ztąd chyba bym żyw nie był!

Ani do wójta na obiad, ani do miasta iść już nie chciał, rozkazując sobie natychmiast parę izb oczyścić. W mgnieniu oka po cieśłów na miasto słano, po robotników i parobków...

Urzędnicy i dwór ciągnęli za panem na zgłiszczą.

W ulicach cokolwiek się przerzedziło i mniej

zr. biło ludno — mieszczanie odetchnęli wolniej. Kraków z Wawelem był w ręku Łoktka...

Pół wieku niemal walczył on, aby się dnia tego doczekać.

Marcika w parę dni później, ojciec, który się o jego losie dowiedział, matka i cieladź na dobrze wysłanym wozie powoli przeprowadziła do Łowczej. Gdy go z domu Greta wywożono nie spytał nawet o nią, nie obejrzał się, nie chciał wie ziec, co się z nią działo.

Greta wyjrzała oknem zarumieniona nieco, nie-spokojna, lecz że Szamotulski ją zabawiał jeszcze, bo przylgnął był do niej, wprędce ku niemu się zwróciła.

Trwała rana i okładanie jej n'edziel kilka, do której leczenia balsamów i plastrów ks. Raclaw dostarczał z rozkazu księcia do Łowczej dojeżdżając.

Matka też sprowadzała baby znachorki z ziołami, a że Marcik sił miał dosyć, począł się dźwigać rychło, choć z głową jeszcze obwiązaną.

Ojciec choć bolał nad nim, cieszył się razem, iż ta prygoda w domu Greta i z jej przyczyny syna spotkała, sądząc, że ona go z głupiej miłości dla zalotnej mieszcзки wyleczy. Jakoż czasu choroby Marcik wcale o niej nie wspomniał,

o tem tylko prawiąc ciągle, jakby rad co rychlej do pana swojego powrócić i służyć mu znowu.

Gdy rana się już dobrze podgajać zaczęła, co-raz niespokojniejszy Sula, do Krakowa się począł wyrywać. Trzymano go długo, a w końcu i powściągnąć nie było sposobu. Choć mu się we łbie kręciło i szumiało jeszcze — siadł na koń i pojechał.

Zapowiadał, że wprost na zamek do księcia się uda, ale nie strzymał słowa, zboczył na Rzeźniczą ulicę i do tych wrót nieszczęśnych, których obronę niepotrzebną o mało nie przypłacił życiem.

Wrota świeciły białemi nowemi powstawianemi deskami, przed nienii stał właśnie opasły, rumiany, ale nachmurzony Paweł z Brzega.

Poznawszy Marcika głową doń skinął.

— Zdrówes już? — zapytał.

Sula krwawy ledwie zabliźniony szram na głowie i czole ukazał.

— Zbójca! — zamruczał Paweł.

— Ciął mnie — odparł Marcik — a no jeszczeż żyw — rachunek między nami nieskończony.

Cóż Greta? doma?

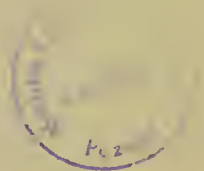
Na to pytanie Paweł usta wydał, czapki poprawił, popatrzał nań, jakby się zdziwił pytaniu i — nie rzekł nic z razu.

— Aleć żywa i zdrowa! — pytał niepoprawny Marcik.

Stryj ruszył ramionami.

— Podczas nie ma jej doma — rzekł sucho. — U swoich we Wrocławiu! Skłonił się i wszedł w podwórze... Marcik koniowi dawszy ostrogę ku zamkowi ruszył.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO



Apr 1002 90/64 1/4 45

Biblioteka Raczyńskich

JIK **587**



JIK0587